

7  
**w | drodze**  
 **M I E S I Ę C Z N I K**

miesięcznik poświęcony

życiu chrześcijańskiemu

Poznań Wrocław Gdańsk

nr 3 (151) rok 1986

treść zeszytu

3 Marcin Babraj OP

TRWANIE I POWROTY

7 Andrzej Kijowski

ZROZUMIEĆ CZŁOWIEKA — MYŚLI

12 Jan Andrzej Kłoczowski OP

KILKA GORZKICH MYŚLI O KULTURZE I O KICZU  
RELIGIJNYM

20 Maciej Zięba OP

DOPISEK DO „TWIERDZY”

37 Jolanta Czapczyk

HIERARCHIE WARTOŚCI ANDRZEJA KIJOWSKIEGO  
PISARZA I KRYTYKA

# Trwanie i powroty

Pamięci Andrzeja Kijowskiego

Andrzej Kijowski swoje nacechowane głęboką intuicją teksty o wierze ogłaszał na łamach „W drodze” od 1979 roku<sup>1</sup>. Poczytywaliśmy sobie jego obecność w piśmie i przyjaźń, jaką nas darzył, za zaszczyt i duchowe bogactwo. Na skutek długotrwałej przerwy w ukazywaniu się miesięcznika, po prawie roku, jaki nas dzieli od nieoczekiwanej śmierci pisarza, możemy spłacić — w jakże niedoskonały sposób — dług wdzięczności, dedykując jego pamięci ten zeszyt „W drodze”. Swoimi tekstami i radą pomagał w pracy nad formułowaniem stojących przed nami zadań i naszej powinności wobec Kościoła dzisiaj. Spotkaliśmy Andrzeja w drodze i odkryliśmy — on i my — że jesteśmy sobie potrzebni. Typ duchowości jaką reprezentował, stałe poszukiwanie jedności myśli i czynu, sposób stawiania i rozwiązywania problemów sprawiły, że jak mało kto mieścił się w formule pisma nastawionego na tworzenie klimatu wiary myślącej.

To był człowiek, który w czasach intelektualnego zamętu i niepewności odznaczał się charyzmatem jasnego widzenia

---

<sup>1</sup>Andrzej Kijowski, Jak młodość ortów (7/1979), Kultura jest wiarą (8/1980 i 11-12/1982), Klientela Bożego Miłosierdzia (4/1981), Wiara i niewiara w życiu Polaków (11-12/1981), Święty wśród wielkich liczb (10/1982), Dopiski do „Wyznań” iw. Augustyna (3/1985).

spraw, by pomagać w, tym niezwykle ważnym zbiorowym zadaniu dorastania myślowego do wspólnych nam wszystkim przeżyć i doświadczeń, w poszukiwaniu wyjścia z labiryntu. Uważał, że żaden najpiękniejszy tekst nie zastąpi myśli, która nosi na sobie pieczęć miejsca i czasu. Umiał być odważny i sprawiedliwy w osądzaniu współczesności, posiadał niezwykłą ostrość widzenia ludzi i spraw, co nie przeszkadzało mu w zachowaniu mądrego dystansu i w kierowaniu się poczuciem realizmu i prawdą w ocenie ludzi i zdarzeń. Miał głębokie przeświadczenie, że teraz na jego pokoleniu spoczywa szczególny obowiązek wielkiego wysiłku intelektualnego i moralnego, wskazywania drogi, dawania świadectwa.

Całym życiem i myśleniem Andrzej Kijowski był zakorzeniony w doświadczeniu swego pokolenia, które przeżyło w dzieciństwie wojnę, dojrzeowało w okresie powojennym, a czasy stalinizmu były okresem studiów i pierwszej dojrzałości. Wraz z całym pokoleniem — ale zawsze w swoim imieniu — jako krytyk i jako pisarz przeżywał wszystkie kolejne etapy i perturbacje, ale miał coś, co go stałe wyróżniało: to była jego intelektualna i moralna czujność. Zawsze pozostawał wierny sobie i swemu sumieniu. Nie ograniczał się do rejestrowania przeżyć i doświadczeń, on je chciał zawsze zgłębić myślowo i zrozumieć. Bał się reakcji spontanicznie bezwiednych.

Jako krytyk poszukiwał trudnych tematów, przed czytelnikiem otwierał pola literatury nieznannej. Jako zapalony historyk w licznych esejach tropił splot historycznego losu i doświadczeń; fascynował go ich wpływ na myślenie i

kształtowanie postaw. Tropił ślady prowadzące ku krytycznej jasności myśli Mochnackiego, ślady wywodzące się z tych samych źródeł, które innych doprowadzały do mesjanizmu. Zresztą Mochnacki fascynował Kijowskiego do końca i jemu zamierzał poświęcić jedną z najważniejszych książek. Dążył do jasnego oddzielenia myśli od mitu, choć daleki był od nierozumienia jego wagi dla świadomości narodowej.

I właśnie ta jasność i odwaga myślenia przywiodły go do postawienia pytań zasadniczych: tropy ludzkiej historii i ludzkiego losu otworzyły mu drogę do Boga. Była to droga mozolna, nie uznawał bowiem żadnych skrótów i ułatwień. Może dojście do celu po latach poszukiwań umożliwiło wspomnienie ministranckiej służby przy ołtarzu, a potem wsłuchiwanie się studenta polonistyki UJ, manifestującego swój antyklerykalizm i ateizm, w fascynujące kazania młodego wikarego w kościele św. Floriana w Krakowie. Wspomnienia te odżyły z wyjątkową siłą i stały się sygnałem do wewnętrznej przemiany, gdy dawny wikary został wybrany następcą św. Piotra.

Jan Józef Szczepański powiedział kiedyś, że większość pisarzy zwleka z przedstawieniem syntezy swych życiowych i myślowych zmaganiań, że wciąż to odkłada na później. Andrzejowi Kijowskiemu dane było dostąpić łaski scalenia wszystkich swoich poszukiwań. Jakże znamienne, że ostatnim swoim tekstem, jaki Andrzej czytał na krótko przed śmiercią, były co dopiero opublikowane na łamach „W drodze” Dopiski do „Wyznań” św. Augustyna, w których biskup Hippony „wyznaje nie siebie, lecz swoją wiarę. To nie akt

samozniszczenia, lecz samoocalenia. Augustyn wie, że mówiąc o sobie, znalazł się blisko pychy, więc zwraca się nie do czytelnika, lecz do Boga, któremu opowiada, jak On, Bóg, ocalił jego, Augustyna, zsyłając mu łaskę wiary” (nr 3/1985). Jest to również świadectwo Kijowskiego, który badając znaki Boże w człowieku, odnalazł prawdę swego życia. Był to nie tylko powrót, lecz zarazem synteza.

Swoje osobiste dojrzewanie łączył z doświadczeniem historycznym narodu, wyrażającym się w jego kulturze i dziejach, zakorzenionych w chrześcijańskim systemie wartości. Dostrzegał w dramacie naszych dni archaiczny cykl polski, odzwierciedlający symbiozę patriotyzmu i religijności, ale był zdecydowanym przeciwnikiem grottgerowskiego płacznego wątku. Pasjonował go pomysł personalistycznej „rewolucji” w imię człowieka. W tym nowym świetle rozprawił się Kijowski z narodowymi mitami, uważając zarazem romantyczny mesjanizm za jedyną w Polsce popularną teologię historii, za siłę obronną w czasie niewoli. W XIX wieku wszystko, co wyrażało sprzeciw wobec zaborców i walkę o niepodległość, było naznaczone pieczęcią mesjanizmu i nabierało cech sakralnych; święta i nienaruszalna była polska przeszłość, literatura, rodzina. To pozwoliło podzielonemu przez zaborców narodowi zachować swoją tożsamość i przetrwać. Wszystkie te wartości pełniły rolę nie zdobytej powstańczej reduty, ale jednocześnie prowadziły do paraliżujących rozwój przejawów samozlitowania, ksenofobii, parafiańszczyzny, co od początku naszego wieku obudziło reakcję na rzecz desakralizacji polskiego życia. Reakcja ta najpełniej wypowiedziała się w twórczości Przybyszewskiego, Boya

Żeleńskiego, Witkacego, Gombrowicza czy w krytyce polskiej religijności dokonanej przez Brzozowskiego. „W procesie desakralizacji — zauważył Kijowski w prelekcji wygłoszonej do kleryków Seminarium Warszawskiego w styczniu 1985 roku — posunęliśmy się aż do wyjąłwienia duchowego, które dzisiaj bije w oczy...” W tym rozumieniu i w obliczu nowych doświadczeń, Kościół nie może pełnić roli zastępczej instytucji kulturalnej, jego rola jest znacznie głębsza, ponieważ bierze początek z jego uniwersalnej misji. Kościół otwierając człowiekowi drzwi na Boży wymiar życia, powinien przewodzić w procesie odbudowy wielopłaszczyznowego sacrum ogarniającego całe zbiorowe życie.

Patrząc na dokonujące się procesy w historii i kulturze, Kijowski zauważa przemienny cykl destrukcji i konstrukcji. Niszczenie jest również pewną postacią odnowy i przy odbudowie należy pamiętać, co było powodem odrzucenia czy przegranej. „Rekonstrukcja tedy nigdy nie jest odtworzeniem pierwotnego kształtu, lecz nową syntezą tradycji i terażniejszości”. Jest to na pewno lekcja optymizmu i recepta na wszelkie klęski, a zarazem zasada konstruowania programu na przyszłość. Chrystus uczy, że człowiek, aby zachować swe życie, musi je stracić (por. Mt 10,39). Podobnie jak jednostka, naród musi utracić życie, aby je zyskać i odrodzić się duchowo, musi stale dokonywać wyboru między dobrem a złem. W ten sposób dokonuje się przemiana moralna, przytoczona wyżej nowa synteza tradycji i terażniejszości. „Trwać i wracać! Niech powrócą wszyscy do swych domów i ojczyzn, niech powrócą ojczyzny do swych źródeł, niech ludzkość powróci na swe odwieczne drogi, a ten powrót — właśnie powrót — jest drogą

naprzód. (...) W cyklu zbawienia, w odejściach i powrotach człowieka tworzy się osobowa historia człowieka, która nie zna śmierci” {Papież i lud).

Odnalezienie Boga wcale nie zwalnia z kontynuowania poszukiwań. Ciągłe obecne było w Andrzeju Kijowskim dążenie do poznania „całego człowieka — od dolnej granicy tej wiedzy, gdzie kończy się człowieczeństwo, do górnej, gdzie zaczyna się znajomość Boga”. Nie obce mu były egzystencjalna nuda i smutek pisarza, który poznał przyrodzone ubóstwo słowa, nuda i smutek świadka oglądającego konanie ludzkości i małość człowieka, który w dążeniu do poznania siebie, do wyjaśnienia świata, zdobył tak dużo informacji, że utracił obraz całości i nie potrafi zrozumieć siebie do końca.

Współczesny człowiek wyczerpał możliwości poznania samego siebie. Nadmierna świadomość motywów własnego postępowania paraliżuje jego działanie, a doświadczenie momentu historycznego odbiera nadzieję. Dlatego takiej wagi nabierają słowa Jana Pawła II na placu Zwycięstwa, że człowieka i dziejów narodu nie można zrozumieć bez Chrystusa. On jest tym, który porusza każdego człowieka do realizowania swej biografii, a narody do realizowania własnej historii. „Zmartwychwstajemy z Chrystusem, uwalniając się od rozpaczliwej wiedzy o nas samych — od wiedzy o naszych wewnętrznych i zewnętrznych determinizmach, od wiedzy nadmiernej” (Świadectwa niepokornych).

Jako pisarz Andrzej Kijowski pragnął sformułować syntezę, do której dane mu było dojść. Od jesieni 1982 roku nosił się z zamiarem napisania książki o wierze, która by go

jeszcze raz „przekonała, że to wszystko prawda, że nie mylimy się tkwiąc przy Kościele, wracając do Kościoła”. Niespodziewana i nieubłagana choroba uniemożliwiła to zadanie. Jakimś wyrazem spełnienia tego pragnienia i zbiorem dotychczasowych bezcennych przemyśleń są Tropy — książka przygotowywana przez Wydawnictwo „W drodze”.

Andrzej Kijowski odszedł do wieczności w 57 roku życia, w uroczystość Apostołów Piotra i Pawła, 29 czerwca 1985 roku. W szpitalnych notatkach zostawił ślad samowiedzy o własnym i innych cierpieniu, i o pragnieniu „miłości bezgranicznej, bezwarunkowej, której nikt na ziemi dać nie może”. Uprzedzając własne opuszczenie i bezradność, pisał: „Stoi przed nami krzyż — znak wszelkiej śmierci, znak naszej śmierci... nikt nas nie uwolni od samotności umierania... tylko to jedno przypomnienie! Chrystus umarł za ciebie — ratuje od desperacji i gniewu”.

Dziękując Andrzejowi Kijowskiemu za towarzyszenie nam w drodze, przez wiarę wiemy, że wracając do Ojca dopełnił tego, co nazywa się życiem naprawdę godnym człowieka — teraz poznał siebie i „miłość Chrystusa przewyższającą wszelką wiedzę” (Ef 3,19).

*Marcin Babraj OP*



ANDRZEJ KIJOWSKI

## Zrozumieć człowieka

*Prezentowane tu fragmenty pochodzą z różnych tekstów Andrzeja Kijowskiego zebranych zgodnie z zamysłem Autora w tomie „Tropy”, który ukaze się nakładem Wydawnictwa „W drodze”. Wspólny tytuł poniżej umieszczonych tekstów pochodzi od redakcji. Jest to ślad myślenia Andrzeja Kijowskiego o człowieku, jego powołaniu i miejscu w świecie. Szczególnie przejmujący w perspektywie cierpienia i śmierci Pisarza jest zapis ostatni, pochodzący z notatnika szpitalnego.*

Z ODEJŚĆ I POWROTÓW CZŁOWIEKA układa się cykl historii zbawienia; Bóg w tej historii nic nie zmienia. „Bóg, wchodząc w dzieje ukształtował je w sposób definitywny, ostateczny”. Chrystus raz tylko wszedł w dzieje ludzkości — w dzieje ojczyzn, rodzin i osób — i trwa w nich jak uporczywy temat powracający, w którym rozpoznajemy siebie i utwierdzamy siebie. Z tym że to my do tego „tematu” wracamy, nie „temat” do nas.

Powracające tematy tworzą całość losów ludzkich, całość dzieł sztuki, całość historii.

Łatwo pozbyć się uporczywego tematu życia; to jedna chwila, i nawet przyjemna, bo do złudzenia przypomina wyzwolenie. To jest to samo, co odstąpić od umowy, zerwać związek, nie odpowiedzieć na wezwanie, odmówić prośbie, wzgardzić uczuciem, wymówić służbę.

SACRUM jest to rzeczywistość, której człowiek ulega z lęku lub zachwyty; jest to manifestacja uległości; jest to stan, w którym człowiek pozbawia się uzdolnień i właściwości, jakie go różnią od reszty ludzi, a nabywa innych, które go z nimi równają i łączą. W sakralnym zgromadzeniu człowiek ogranicza swą władzę sądzenia, zyskując wzruszenia; pozbywa się wolności osobistej, zyskując poczucie wspólnoty i wolność zbiorową, pozbywa się instynktu samozachowawczego, zyskując odwagę.

*Człowiek nie może sam siebie  
zrozumieć bez Chrystusa...*

W NASZYM CZASIE cała refleksja człowieka nad sobą samym zawarta jest w umiejętności czytania i rozumienia tego, czego dokonał. Refleksja człowieka nad sobą samym wyraża się w metodach badania form ludzkiej świadomości. Człowiek myśli o sobie analizą swych dzieł: instytucji, ideologii, mitów, utworów artystycznych, języka, wypracowanych społecznie form zachowania, ba! nawet chorób, dewiacji i aberracji czy społecznych norm. Cała wieloraka rzeczywistość ludzka — zdrowa i chora, normalna i anormalna — została świetnie skodyfikowana i zostały wypracowane znakomite metody jej interpretacji.

Dlaczego jednak im dalej posuwamy się w tej pracy, im więcej rzeczywistości ludzkich umiemy zapisywać i odczytywać (a posuwamy się w tym nawet poza granice śmierci, na ciemne pola wspomnień ze śmierci klinicznej), dlaczego im pewniejsi jesteśmy tych zapisów, tym mniej zrozumiemy, tym mniej pewny siebie, tym mniej czytelny staje się człowiek i jeśli

wierzyć jego współczesnemu obrazowi utrwalonemu w literaturze, w teatrze i w plastyce, coraz bardziej pokraczny?

I co znamy w tej sytuacji, wobec otaczających nas form świadomości człowieka przeanalizowanych, prześwieconych, wypreparowanych, zakodowanych i opisanych, poklasyfikowanych, co znaczy wobec spokraczniętego obrazu człowieka, zawołanie, że nie sposób zrozumieć go bez Chrystusa ?

Co to znaczy na tym zakręcie dziejów, w tym stadium dramatycznego dialogu myśli antropologicznej? Co to znaczy wobec człowieka, który wyłania się ze statystyk i socjologicznych analiz, z tekstów behawiorystycznych, z powieści Joyce'a i Gombrowicza, z dramatów Witkacego, Ionesco i Becketta, z obrazów Bacona (w pustym pokoju, przed lustrem wije się człowiek podobny do zwłok wyciągniętych spod ciężarówki), z widmowych rzeźb Giacomettiego? Z miast-potworów, z morderczych lub samobójczych masakr, z idiotyzmu konsumpcyjnej kultury i skomercjalizowanej rozrywki? (...)

Olbrzymi rozwój metod i narzędzi badawczych i chaos: „Nie było epoki ludzkiej wiedzy, w której człowiek stałby się sam dla siebie istotą równie problematyczną... Nie dysponujemy już żadną jasną i logiczną teorią człowieka” (Ernst Cassirer Esej o człowieku — przyp. red.). Szukamy nici Ariadny, która wyprowadzi nas z tego Labiryntu (...)

Chrystus, Bóg-człowiek, jest mieszkańcem tego Labiryntu.

Jest nim jako zmienny wyraz naszej świadomości, i jako historyczny Kościół. Zmienia się wraz z nami, bo oddajemy Mu i przypisujemy wszystko to, czego dowiadujemy się o sobie samych. Chrystus naszej świadomości jest Chrystusem wszystkich naszych rzeczywistości: wewnętrznej i zewnętrznej, świadomej i podświadomej, rzeczywistości historycznej w całym jej ruchu i rzeczywistości biologicznej, rzeczywistości językowej i rzeczywistości symbolicznej. Jest to Chrystus całej naszej wiedzy, obecny, czytelny, dający się opowiedzieć i scharakteryzować, jako człowiek, i jako osoba przez Kościół, to jest przez styl Jego nauki, liturgii i organizacji, zwłaszcza przez kierunek Jego nieustannej samoodnowy.

To jest to wszystko, co Chrystus dzieli z człowiekiem.

Ale co do jego rzeczywistości wnosi z zewnątrz, spoza Labiryntu, spoza zamkniętego układu między osobą a wszechświatem? Co jako ten intruz zakłócający stoicką harmonię wnosi Chrystus-Bóg, Chrystus naszej wiary? Co mi wyjaśnia, czego bym sam, jako człowiek, wyjaśnić nie mógł? Jaką funkcję poznawczą spełnia, której nie mógłby spełnić mój rozum? Czego zrobić naprawdę nie mogę — bez Chrystusa — ja, człowiek?

Tylko jednego: zbawić się, czyli sam na siebie spojrzeć jako na przedmiot cudzego poznania i jako na przedmiot cudzej miłości; dopóki tego spojrzenia osiągnąć nie mogę, dopóty sam dla siebie nie mogę stać się niespodzianką. A dopóki sam dla siebie nie mogę stać się niespodzianką, dopóty sam siebie tak naprawdę nie interesuję. Moja wiedza o sobie samym wyjaśniła mi wszystko, do czego jestem zdolny w ramach mojej

natury. Dowiedziałem się rzeczywiście rzeczy zadziwiających, ale żadnej z nich powtórzyć ani naśladować nie chcę. Dowiedziałem się rzeczy przeraźliwych. W ramach mojej natury nie dowiedziałem się natomiast, i nie dowiem, czy jestem zdolny wyjść poza nią, czyli być innym, niż jestem. Zupełnie innym, kimś nowym, czyli Świętym, czyli zbawionym. O tym poucza mnie Chrystus, który jest mną i nie mną jednocześnie, który mnie zna jak ja sam siebie, i jak kto inny jednocześnie, i który mnie kocha, jak ja sam siebie i jak kto inny jednocześnie, i który mnie przez miłość przychodzącą z zewnątrz wyprowadza z Labiryntu natury, abym mógł się stać kim innym, niż jestem, i wtedy dopiero dowiedzieć się, kim naprawdę jestem. Chrystus jest samowiedzą człowieka w wymiarze jego świętości. Chrystus jest powołaniem do świętości przez miłość, która musi być ludzka, bo w inną nie uwierzę, i musi być boska, bo mnie inna nie przekona. Pragnienie świętości jest wewnętrzną skazą człowieka i jego słabością wobec natury. Chrystus ogłosił prawo do świętości i z tej skazy uczynił powołanie. Swym życiem, swą ofiarą, swą obecnością w Kościele żywym Chrystus świadczy o tym, że świętość jest możliwa.

Słowa Jana Pawła oznaczają więc w praktyce humanistyczny sceptycyzm Sokratesa, stoików i Augustyna wobec natury, sceptycyzm, który w naszych warunkach da się przetłumaczyć na zawołanie: nie dajcie się komputerom! Nie bójcie się komputerów!

I w tym buncie przeciw komputerom i kategoriom — przeciw uporządkowaniu nas w chaotyczny porządek nauk

antropologicznych oraz w systemy ekonomicznego i politycznego zniewolenia, w buncie przeciw naturze człowieka, o której wiemy więcej niż wiedziano kiedykolwiek, odnajdzie godność woli i myśli w imię Chrystusa, to jest w imię powołania do świętości, powołania najwyższego.

Godność to jest rozpoznanie swego właściwego miejsca w świetle najwyższego powołania — właściwego miejsca „poniżej tego od czego jest się wyższym, powyżej tego od czego jest się niższym”.

Poniżej i powyżej: co do nas, jesteśmy w naszym skomputerowanym życiu ustawiani na właściwym miejscu za pomocą silnych kopniaków. Albo wypełniamy ankiety, albo szukamy naszych nazwisk na listach uprzywilejowanych. Albo jesteśmy kopani w dół, w socjologiczne czy inne piekło, albo do góry, w sfery uprzywilejowanych, czyli „przyjętych”, „nagrodzonych”, „odznaczonych”, „upamiętnionych”, a nawet „uwiecznionych” np. w druku, w bibliografii, w encyklopedii, ewentualnie na rogu ulicy.

Szukamy naszego miejsca i naszej wartości, latając jak piłki od nogi do nogi.

Nasza wiedza o sobie samych jest przeraźliwie smutna. I niech będzie smutna, niech będzie nawet rozpaczliwa, niech będzie ostatecznie beznadziejna, albowiem jak napisał już nie wiem kto „ostatni wyraz poznania siebie jest pierwszym wyrazem poznania Boga”.

I ponieważ to ostatnie słowa dzisiejszego dnia, niech to nie będą moje słowa, lecz Apostoła:

„Przetóż proszę, aby mieszkał Chrystus przez wiarę w sercach waszych... żebyście mogli pojąć ze wszystkimi świętymi, która jest szerokość ,i długość, i wysokość, i głębokość, i poznać miłość Chrystusową przewyższającą naukę, abyście byli napełnieni wszelakiej zupełności Bożej” (List do Efezów 3,13-19).

JAK KAŻDA PRAWDA jest analogią prawdy większej, tak miłość każda jest analogią miłości większej; i tylko drogą analogii dojść możemy do prawdy największej i do miłości największej, to jest do Boga. Człowiek nie może wejść w związek z nikim innym, jak tylko z drugim człowiekiem. Człowiek poznaje Boga, wierzy w Boga i kocha Boga tylko przez świadectwo, wiarę i miłość drugiego człowieka. Każdy z nas jest dla kogoś obrazem Boga. Każdy — ochrzczony czy nieochrzczony, wierzący czy niewierzący — uczestniczy w dziele Jego objawienia przez podobieństwo swej miłości do Jego miłości i podobieństwo swych uczynków do Jego uczynków. I każdy może obraz Jego zaciemnić, każdy Go może zabić, gdy kłamiąc, czyniąc zło i szerząc nienawiść, w drugim człowieku wzbudzi wątpliwość, czy prawda, dobro i miłość w ogóle istnieją i czy w takim razie istnieje Bóg, który jest ich źródłem. Każdy z nas objawia Boga drugiemu człowiekowi, i jest do tego powołany przez to samo, że wchodzi z nim w związek miłości i prawdy. Powołanie to możemy odrzucić lub przyjąć, czyli uwierzyć w nie lub zwątpić.

Jest [człowiek] jedynym w świecie istnieniem, któremu nie wystarcza czasu, aby nauczyć się żyć. Mrówka, która wylęgnie się z jajka, wie już wszystko, co ma czynić, i nigdy się

nie omyli; ptak wylatujący z gniazda jest dojrzałym ptakiem; a starzec umiera płacząc, że nie zrozumiał swojego powołania. Aby je zrozumieć, człowiek musi szukać współdziałania z wolą rozumną, twórczą, czynną, z tym co niezmiennie; musi znaleźć ośrodek grawitacji powszechnej i odczytać w sobie prawo, które rządzi kosmosem; musi wolę i wiedzę w jedno skupić; musi się poddać. Jest w całej naturze jedyną istotą uprawnioną do podjęcia z nią współpracy z upodobania. To znaczy z miłości, na którą składa się i posłuszeństwo, i pokora, i wiara.

Człowiek dosięga Boga z dna swego cierpienia, z którym nic na tym świecie nie da się porównać, bo jest świadome.

Bóg dosięga człowieka z bezmiaru swego wyniesienia, z którym nic na tym świecie nie da się porównać, bo nikt Bogu nie jest równy.

Bóg z człowiekiem spotykają się w akcie miłości: łaska Boga z pokorą człowieka.

STOI-PRZED NAMI KRZYŻ — znak wszelkiej śmierci, znak naszej śmierci. Będziemy umierać — umieramy — na pewno w cierpieniu i na pewno w opuszczeniu. Choćby zapewniono nam wszelkie wygody i środki znieczulające, nikt nas nie uwolni od samotności umierania. Choćbym otoczony był wtedy przez wszystkich moich najbliższych, choćby wśród nich nie zabrakło nikogo, przecież umrę sam, tak jak Chrystus, który z Krzyża wołał nawet do swego Ojca: czemuś mnie opuścił! Choćby ta śmierć miała nastąpić tak, jak o niej marzy człowiek XX wieku — nagle, bezboleśnie, w sekundzie — nic nas nie uwolni od lęku przed nią rozpylonego w naszej cywilizacji jak gaz, jak



produkt spalania. I tak samo jak my, jak każdy z nas, umierać będą nasi najdrożsi, umierać będą nasze plany, dzieła, przedsięwzięcia; całe nasze życie przesycone jest cierpieniem, smutkiem, goryczą Końca nieodwołalnego, wobec którego człowiek — ludzkość — narody — pokolenia — stoją w opuszczeniu, obnażeniu, sponiewieraniu; jak Chrystus na wzgórzu trupiej głowy.

I oto ludzkość, oto naród, oto każde ludzkie pokolenie, oto każdy z nas spotyka Syna Bożego w najboleśniejším, najstraszniejszym, w najbardziej nieuniknionym, a zarazem jakby najniższym punkcie swej ziemskiej egzystencji!

Chrystus — jak obumierające ziarno — wsiany w glebę tego świata — właśnie opuszczony, wyszydzony, zelżony, oderwany od swych wyznawców, od swego ziemskiego dzieła, Chrystus bez przyszłości, Chrystus, który przestał być nadzieją najbliższych, Chrystus rozpięty na krzyżu w ciemnościach, na pękającej ziemi — gotów do zmartwychwstania. Dojrzały do odrodzenia w całej przyszłej historii ludzkości odkupionej...

*Andrzej Kijowski*

JAN ANDRZEJ KŁOCZOWSKI

## Kilka gorzkich myśli o kulturze i o kiczu religijnym.

*Tych kilka myśli, co gorzkie i nienowe, narodziło się z zamyślenia nad tekstami Andrzeja Kijowskiego (szczególnie nad tekstem wygłoszonym w czasie trwania Dni Kultury Chrześcijańskiej we Wrocławiu w 1982 roku, pt. „Kultura jest wiarą”, (drukowanym w „W drodze”11-12/1982). Jak mało kto był on twórczy i posiadał moc nadawania słowom pełnego, soczystego znaczenia. Choć świadom był wszystkich trudności, płynących ze spotkania świata twórców ze światem Kościoła, umiał te trudności nazwać i wskazać drogi poszukiwania rozwiązań. A my musimy pracować dalej.*

Słusznie napisał Andrzej Kijowski, że przyzwyczailiśmy się myśleć o kulturze administracyjnie, czyli resortowo: od kultury jest odnośny resort reprezentowany przez odnośnego ministra (przepraszam za ten wtręt nowomowy). Pana ministra na najniższym szczeblu resortu, w zakładzie pracy czy domu wczasowym, reprezentuje tzw. „kaowiec” — jego zadaniem jest organizowanie „impresz kulturalnych”, w których ramach przyjedzie pan poeta, odbędzie się spotkanie z „ciekawym człowiekiem”, zorganizuje się wycieczkę autobusową na grzyby czy w góry, po której przez dwa dni uczestnicy leczą kaca. To przyzwyczajenie przeorało świadomość sporej części społeczeństwa.

Obawiam się, że podobne „resortowe” myślenie o kulturze przeniknęło nawet do kościołów. Inne są treści, inne wartości, ale model myślenia identyczny: zaprosimy ciekawego człowieka, to ściąganie nam ludzi, zorganizuje się projekcję

filmu, to napełni kościół. Uproszczone schematy przemieszczają się w społeczeństwie, zapuszczając korzenie w tak odmiennych — wydawać by się mogło — pomieszczeniach, jak dom kultury czy salka przykościelna.

Jestem przekonany o konieczności bardziej głębokiego myślenia o kulturze. Kultura nie jest dodatkiem do życia, jest samym życiem, jest sposobem, w jaki człowiek żyje. Człowiek poza kulturą nie istnieje, powstał wraz z nią i gdy ona zaginie, jego człowieczeństwo skazane zostanie na zagładę.

Potoczne myślenie naznaczone jest tradycyjnym podziałem wziętym z XIX-wiecznych niemieckich uniwersytetów — podziałem na cywilizację i kulturę. Cywilizacja w takim rozumieniu to po prostu działalność materialna, przetwarzanie przyrody, budowanie niszy ekologicznej, w której człowiek może zamieszkać na ziemi. Budowanie domów, fabryk, produkcja samochodów i telewizorów to cywilizacja właśnie. Kulturą natomiast jest duchowa twórczość człowieka, kultura to literatura, sztuki piękne, filozofia. Taki podział mógł sprzyjać myśleniu — i faktycznie sprzyjał — umieszczającemu kulturę w strefie życia, dostępnej normalnemu człowiekowi, tylko wtedy gdy jest wolny od innych bardziej poważnych zadań. Innymi słowy, kultura to wypoczynek (mamy „parki kultury i wypoczynku”!), jeżeli komuś zajmuje zbyt wiele czasu, jest po prostu pięknoduchem.

Z drugiej jednak strony daje się zauważyć powstanie innego nurtu w traktowaniu kultury. Bardzo wyraźnie dochodzi on do głosu w myśli i nauczaniu Jana Pawła II. Przytoczę tylko

fragment słynnego przemówienia z 1980 roku w paryskiej siedzibie UNESCO: „Człowiek żyje życiem prawdziwie ludzkim dzięki kulturze. Jego życie jest kulturą również i w tym znaczeniu, że poprzez nią człowiek odznacza się i odróżnia od całej reszty istnień wchodzących w skład widzialnego świata: człowiek nie może się obejść bez kultury”. To myślenie nie jest bynajmniej resortowe ani akademickie. Człowiek urzeczywistnia swoje życie uczestnicząc w kulturze i tworząc kulturę: w człowieku, w wyniku jego działania wszystko staje się kulturą. Wymaga to kilku słów wyjaśnienia.

Żyję nie sam, żyję pośród ludzi. Od początku są obok mnie rodzice, rodzeństwo, rówieśnicy. Uczą mnie mówić, działać, zachowywać się wobec innych, porozumiewać się z nimi, a niekiedy spierać. Człowiek żyje na ziemi, w przestrzeni „fizycznej”, w której uczestniczy przez swoją cielesność. Ale nie jest to jedyna przestrzeń urzeczywistniania się ludzkiego życia. Przestrzenią decydującą o jego człowieczeństwie, inaczej: przestrzenią, w której uczestniczy, którą buduje i która zarazem buduje w nim człowieczeństwo — jest przestrzeń międzyludzka, ta którą tworzą ludzie pomiędzy sobą.

Mówiąc o religii Andrzej Kijowski wyróżnia trzy poziomy urzeczywistniania się więzi, jaką religia buduje — więź społeczna czy narodowa, więź znaku, czyli wymiar kultury oraz więź wiary, w której nawiązany jest kontakt z Bogiem. Wydaje mi się, że nie można oddzielać poziomu więzi społecznej od poziomu znaku — kultury. Po prostu więź pomiędzy ludźmi nie istnieje bez znaku, nie istnieje bez kultury. Aby powstała, aby zaistniała więź, ludzie muszą ze sobą nawiązać kontakt, muszą

się spotkać. Jednakże kondycja ludzka nie jest kondycją aniołów, którzy — jak zapewnia nas św. Tomasz — porozumiewają się bezpośrednio, niejako przez przelanie pojęć z umysłu do umysłu. Cieleśna kondycja człowieka powoduje, iż kontakty ludzi dokonują się przez znaki: przez język, symbole, gesty. Najgłębsze spojrzenie w twarz ukochanego człowieka nie jest bezpośrednim wniknięciem w jego duszę, w jego „ja”, twarz stanowi — opisał to Levinas — epifanię Drugiego. Ale epifania, objawienie, staje się konieczne, wtedy gdy sam przedmiot jest bezpośrednio nieobecny. Jeżeli nie mam bezpośredniego dostępu do drugiego człowieka, do partnera dialogu, powstaje pytanie — jak możliwe jest spotkanie? Czy kontakt prawdziwy jest możliwy przez jakieś znaki, słowa, czy to co staje pomiędzy nami, przeszkadza, czy umożliwia spotkanie? Każdy znak ma strukturę paradoksalną: wskazując na oznaczoną rzeczywistość jednocześnie zakrywa ją, stając pomiędzy nadawcą a odbiorcą. Porozumiewając się za pośrednictwem znaków mamy poczucie ułomności tej komunikacji, a jednocześnie jej nieuchronnej konieczności wynikającej z kondycji ludzkiej. Jednakże, choć boleśnie ułomna, komunikacja ta może być prawdziwym spotkaniem: twarz Drugiego odsłania mi jego wewnętrzną prawdę. Słowo, gdy rzeczywiście jest brzemienne treścią, buduje przestrzeń spotkania człowieka z człowiekiem, człowieka z Ludźmi.

Ludzie są razem tylko przez kulturę, dlatego człowiek jest człowiekiem właśnie tylko w przestrzeni międzyludzkiego spotkania. Wszystko jest kulturą: język, nauka, praca, technika, sztuka. Nauka stanowi sposób poznawania świata, ale jest to o

tyle poznanie naukowe, o ile może być zakomunikowane innym, o ile jest intersubiektywne, jak nas uczą metodologowie. Jest więc nauka również sposobem międzyludzkiego porozumienia. Pomiędzy twórcą dzieła sztuki a odbiorcą także powstaje jakieś porozumienie. Nie chcę wchodzić tutaj w szczegółowe teorie estetyczne, zmierzające do wyjaśnienia, w jaki sposób więź owa zostaje nawiązana. Poprzestaję na stwierdzeniu dość oczywistego faktu, z którego można jednak wyciągnąć wniosek, że i sztuka jest sposobem, w jaki ludzie porozumiewają się między sobą. Analizy ks. Tischnera mówiące o pracy jako o języku wykazały również, jak istotną więzią międzyludzką jest komunikacja przez pracę i jej owoce.

Podsumowując — kultura jest artykulacją przestrzeni międzyludzkiej. Papież w przywołanym tutaj już przemówieniu cytował św. Tomasza — *genus humanus arte et ratione vivit*, „rodzaj ludzki żyje twórczością i rozumnością”. Ars, co tłumaczę tutaj jako „twórczość”, jest wszelką działalnością przekształcającą materialną rzeczywistość, niezależnie od tego czy będzie to sztuka, czy technika. Tę to twórczość warunkuje ratio, czyli zdolność człowieka do rozumnego ogarnięcia rzeczywistości. Obydwie — ars i ratio umożliwiają człowiekowi życie (vivit) na tej ziemi jako człowiekowi właśnie. Przez kulturę człowiek zamieszkuje ziemię, właśnie przez nią „czyni sobie ziemię poddaną”, człowieczą właśnie ,i w ten sposób urzeczywistnia ukrytą w sobie moc własnego człowieczeństwa. „Człowiek żyje życiem prawdziwie ludzkim dzięki kulturze”.

Religia jako wiara, czyli nawiązanie rzeczywistego kontaktu z Bogiem, jest możliwa również przez kulturę. Św. Jan tak sformułował w Prologu fundamentalną prawdę chrześcijaństwa — „Słowo stało się ciałem i zamieszkało między nami”. Gdzie zamieszkało? „pomiędzy nami”. Nie tylko w fizycznej przestrzeni, zamieszkało w przestrzeni międzyludzkiej, stając się podobnym nam we wszystkim z wyjątkiem grzechu. Człowieczeństwo Jezusa Chrystusa jest realnym znakiem (teologowie mówią — jest „pra--sakramentem”) obecnym pomiędzy nami, czyli w przestrzeni międzyludzkiej, znakiem powodującym, że ta właśnie przestrzeń nie jest zamknięta, że są w niej znaki otwierające na wymiar Boskiej obecności. Ta Jego obecność nadal jest realna w słowie i sakramentach Kościoła, czyli w przestrzeni, jaką Duch Święty buduje pomiędzy tymi, którzy gromadzą się w imię Zmartwychwstałego. Tajemnica Boskiej obecności, znaki tej tajemnicy wpisane są w rzeczywistość międzyludzką, można by powiedzieć obrazowo, że wpisują się niejako w język, w gest, symbol, który w pierwotnej swej intencjonalności skierowany był ku drugiemu człowiekowi. Odkrywamy to badając osobliwości języka religijnego: Biblia używa do opisanie relacji człowieka z Bogiem obrazów wziętych z tej właśnie międzyludzkiej przestrzeni — nazywa Go „Ojcem”, „Panem”, „Oblubieńcem”, „Sędzią”. Człowiek może ten język rozumieć, ponieważ zna jego pierwotny sens, wyznaczony znaczeniem użytych słów czy obrazów.

Oczywiście, ta komunikacja człowieka z Bogiem nosi znamię podobnego paradoksu, jaki jawi się nam w spotkaniu człowieka z człowiekiem— dokonuje się przecież za

pośrednictwem, przez słowa i symbole. Bóg przekracza świat i przekracza ludzką zdolność poznania, nie mieści się ani w przestrzeni fizycznej, ani międzyludzkiej. Ale obydwie te przestrzenie ogarnia i przenika swoją Obecnością Stworzyciela i Zbawcy, dlatego możliwe jest odczytanie przez człowieka znaków tej tajemnicy. Nie mamy innego języka jak ludzki, by tę tajemnicę wyrazić, i Bóg w tym języku do nas przemówił. Ponieważ Słowo zamieszkało pomiędzy nami, otwierając ludzką przestrzeń na znaki Obecności Nieogarnionego, wiara może wyrazić się w kulturze, wcielić w kulturę. Bez kultury człowiek nie mógłby poznać Boga.

Pisałem na początku o niebezpieczeństwie płytkiego rozumienia kultury i o skutkach, jakie z tego wynikają w ciekawym i ważnym przecież spotkaniu twórców z Kościołem. Spróbujmy podjąć ten temat wprowadzając wyżej zarysowane rozumienie kultury.

W rozważaniu tego tematu bardzo są mi pomocne przemyślenia Andrzeja Kijowskiego, który — jak mało kto — rozumiał głębię i komplikację całej sytuacji. Był człowiekiem, którego ośmieliłbym się nazwać „człowiekiem podwójnej lojalności”. Przez wykształcenie i przez temperament artystyczny i krytyczny uczestniczył w kulturze świeckiej, takiej jaką znają nasze uniwersytety, środowiska literackie. Przez głęboką wrażliwość na religijny, fundamentalny wymiar ludzkiego losu, uczestniczył w kulturze świadomie pielęgnującej znaki Boskiej transcendencji. I był świadomy dramatycznej niemożliwości łatwego sprowadzenia tych dwu odmiennych przestrzeni urzeczywistniania się ludzi — do



jedności, jaką znały epoki dawniejsze. Był czas — najdojrzalszy w Średniowieczu — kiedy rzeczywiście przestrzeń kultury zorganizowana była wielorako, ale jednorodnie: katedry wyznaczały kierunek zasadniczego zorientowania człowieka na niebo, ale w ich cieniu czy na portalach możliwe były błazeńskie, sowizdrzalskie dowcipy. Kapłan i błazen współżyli zgodnie. Ta jednorodna przestrzeń kultury została rozdarta w Renesansie, Oświecenie umocniło jeszcze ten podział i odtąd cywilizacja europejska naznaczona jest piętnem głębokiego pęknięcia — pomiędzy rozumem a wiarą, pięknem a pobożnością, twórczością a wiernością tradycji. Inne były w tych przestrzeniach — i innymi pozostaną — język, skala wartości, rozumienie człowieka.

Taka jest rzeczywistość kultury naszego czasu i jest to wielkie wyzwanie dla wszystkich, którym bliska jest sprawa człowieka, którym bliska jest troska o ochronę środowiska międzyludzkiej przestrzeni.

Jest prawdą, że wielka sztuka przeszłości karmiła się sacrum. Simone Weil napisała: „...wszelka sztuka pierwszorzędna jest ze swej natury religijna (czego ludzie już dziś nie wiedzą). Melodia gregoriańska jest świadectwem w tym samym stopniu, co śmierć męczennika”. I dodawała zaraz: „Sztuka nie ma dziś przed sobą bliskiej przyszłości” — właśnie dlatego że utraciła fundamentalny, a nie przypadkowy, polegający na malowaniu obrazków z pobożnym tematem, stosunek do sacrum, do Boga. Staje przed sztuką problem odnalezienia swych własnych źródeł wielkości.

Stwarza to konieczność przewartościowania obecnie (czyli w „nowoczesności”) obowiązujących wartości, gdyż nie są one już zdolne unieść ciężaru wyzwania. Zawarte jest tu wezwanie do wielkiej pracy duchowej twórców. Wierzę, że ta praca już się rozpoczęła i że doświadczenia polskie stanowią istotny wkład do tworzenia kultury przyszłości. Ale obecnie, na użytek tego artykułu interesuje mnie bardziej drugi z partnerów rozpoczętego, dialogu — Kościół. Jestem odpowiedzialny najpierw za mój dom, i zanim kogokolwiek ośmielę się pouczać, powinienem zacząć od siebie i od swoich.

A jak to jest naprawdę teraz w Polsce? Artyści nie czują się najlepiej w kościołach, świętość miejsca jest dla wielu z nich krępująca, stawiająca wymogi, które wydają się im wewnątrz hamować w potrzebie szczerej ekspresji. Wymaga się od nich słów i zachowań, do których nie przywykli, w których nie są sobą. Ta bezradność dotyczy obu stron: tak mecenasów, jak i artystów. Duchowni rzadko orientują się w problematyce artystycznej, którą żyją twórcy, przygotowanie seminaryjne siłą rzeczy obejmowało wiele przedmiotów, ale rzadko zawierało jakieś ogólne przynajmniej wprowadzenie w problematykę kultury współczesnej. W Kościele także spotykamy „resortowe” myślenie o kulturze, przekonanie nie formułowane może wyraźnie, ale głęboko przyczajone, że jest to w gruncie rzeczy dziedzina piękno duchów.

Gdy brak płaszczyzny głębszego porozumienia, wybiera się to co najłatwiejsze — mechanicznie przenosi się do kościołów model „impresowego” traktowanie kultury, powszechny niestety w naszym społeczeństwie. Zabiera się

kilka obrazów z paru pobożnymi akcentami i powstaje wystawa, kilku aktorów wyrecytuje wiersze Karola Wojtyły czy Norwida, puści się film, ludzie przyjdą i impreza gotowa. Jest to oczywiście karykatura, ale celowo przerysowuję i przedrzeźniam na smutno, bo najczęściej tymi, którzy działają i organizują, są najlepsi duszpasterze, zabiegani, obłożeni przez ludzi, dźwigający ciężar obowiązków, pod którymi upadają. Ale to są ci, którym się chce i którym trzeba pomóc.

Aby spotkanie twórców i Kościoła było owocne, potrzebna jest wielka praca z obydwu stron. Najpierw trzeba sobie zdać sprawę z faktycznie istniejącego napięcia, a czasami i sprzeczności — Andrzej Kijowski po stokroć ma rację protestując przeciwko łatwemu przechodzeniu ponad tymi zagadnieniami do działań praktycznych.

W czasie wykładu dla kleryków seminarium warszawskiego ze stycznia ubiegłego roku powiedział (cytuję według maszynopisu):

„Kościół nie jest i nie może być zastępczą instytucją kulturalną zapewniającą rozwój świeckich sztuk, które w całym swoim nowożytnym rozwoju, ze swej istoty należą do sfery *anty-sacrum*, a siłę i oryginalność dają im te właśnie elementy, które Kościół wierny swej istocie musi odrzucić. Natomiast Kościół może i powinien przewodzić w procesie odbudowy owego wielopłaszczyznowego *sacrum* życia zbiorowego, *sacrum* tradycji, *sacrum* prawa, *sacrum* człowieczeństwa, która to rola. mu przystoi, bo jako środowisko Boga żywego jest *sacrum par excellence*.

Kościół musi stworzyć literaturę własną. To nie oznacza kościelnej czy «katolickiej» powieści, katolickiego dramatu, katolickiego kina. To będzie zawsze marne, zawsze drugorzędne, bo napiętnowane tendencją, która te rodzaje sztuki pisarskiej i kreacyjnej zabija. Wszelka sztuka przedstawieniowa jest rekonesansem w dziedzinę zła wysuniętym tak daleko, że przybiera jego znamiona jak szpieg działający w kraju wroga. Kościół to drzwi otwarte na świat Boży, literatura kościelna jest i powinna być sztuką przedstawiania świata Bożego. Więc chodzi o to, aby literaturą, aby sztuką słowa stało się na powrót kaznodziejstwo, tak jak nim było za czasów Ambrożego, Bossueta i Piotra Skargi, aby stała się nim teologia i apologetyka, tak jak ją uprawiali Augustyn czy John Newman; aby rozkwitła poezja pieśni i hymnów, sztuka modlitwy i medytacji. Aby Słowo Boże stało się sztuką! Aby Kościół zamiast zgarniać odbite blaski kultury świeckiej promieniował własną kulturą artystyczną i umysłową jak wtedy, gdy od niego — tylekroć w historii — zaczynała się odnowa kultury świeckiej”.

Potrzebna jest wielka duchowa praca twórców, ale potrzebna jest też wielka praca wewnątrz Kościoła, szczególnie tych wszystkich którzy w Kościele ponoszą odpowiedzialność. Kościół, aby sprostać potrzebie nie chwili, ale dobra dusz — musi stać się ponownie mecenasem w wielkim stylu. Bardzo to podkreślam — trzeba nie wymogom chwili, doraźnej sytuacji stawić czoło — konieczna jest praca wielka, wielki mecenat nie na peryferiach, ale w samym centrum duszpasterskiej pracy Kościoła. A tam właśnie, w pobliżu centrum zadomowił się w Kościele gość niepożądany i szkodliwy — choć wielu traktuje

go z dobrocią przynależną prawej naiwności — rozpanoszył się kicz.

Wykorzystajmy poczynione wyżej, wydawać by się mogło teoretyczne rozważania o istocie kultury. Jeżeli kultura jest artykulacją przestrzeni międzyludzkiej, jeżeli jest postacią komunikacji pomiędzy ludźmi, to kicz można zdefiniować najkrócej jako komunikację pozorną. Nie wystarczy dla porozumienia posługiwać się znakami czy językiem, znaki te czy język muszą najpierw coś znaczyć. Gdy słowo staje się wyprane z wszelkiego znaczenia przez nadmierne jego używanie, gdy z ust mówcy płyną gładkie sekwencje słów, nawet gramatycznie poprawnie zestawionych, ale skonwencjonalizowanych do granic bezsensu — wtedy komunikację możemy określić komunikacją pozorną. Przestrzeń międzyludzka jest „zabudowana” nawet bardzo gęsto, ale nie następuje żadne spotkanie, żadne porozumienie. Kicz — fałszywa postać kultury — rodzi się z duchowego lenistwa. Wszyscy jesteśmy na nie podatni, każdy z nas ma pokusę zaśnięcia w gładkiej pościeli słów, do których się przyzwyczaił, z którymi czuje się dobrze, ale które łatwo tracą zdolność przenoszenia myśli i uczuć, stają się — mimo wielomówstwa — nieme. Kicz jest nie tylko po stronie nadawcy, odbiorca też chętnie daje się ponieść pokusie łatwości. Gdy słucham tylko powierzchownie, a nie całym sobą, w słowach mego rozmówcy oczekuję tylko potwierdzenia tego, do czego jestem przyzwyczajony, szukam więc potwierdzenia siebie na etapie integracji, którego nie zamierzam bynajmniej opuścić. Pokusa ucieczki od ciężkiej pracy, jaką jest

nawiązywanie prawdziwego spotkania czy dialogu, leży u podstaw banału, jednej z twarzy kiczu.

Dwie dziedziny szczególnie ważne w życiu człowieka są osobliwie narażone na pokusę kiczu: religia i miłość. Kicz religijny, pozorna komunikacja człowieka z Bogiem ma miejsce, wtedy gdy człowiek poszukuje w modlitwie jedynie samopotwierdzenia, odrzuca zaś wszystko, co stawia mu wymagania, co każe mu przekraczać siebie. Kicz religijny buduje fałszywą przestrzeń międzyludzkiego spotkania, nie wchodzącego w głąb, nie rodzącego prawdziwej więzi. Dlatego tak wielu uczestników niedzielnych nabożeństw rozchodzi się do swoich domów i nadal pozostają tacy sami. Czy trzeba opisywać bezmiar banału komunikacji, budującego pozorną więź miłości?

Ktoś może replikować — środek przekazu może być neutralnym przekazaniem treści, które nie podlegają zniekształceniu w banalnej formie przekazu. Nie wierzę w to. Dzielę przekonanie badacza kultury masowej McLuhana, że „środek komunikacji jest komunikatem”. Treści komunikowane przez banalną i kiczowatą formę stają się banalne i kiczowate — nie same w sobie oczywiście, ale w tym oto konkretnym człowieku, pomiędzy tymi oto ludźmi.

Kościół jest skarbnicą Boskiej mądrości i Bożego życia. I taki pozostanie po wszystkie dni, aż do skończenia świata. Ale Jezus Chrystus powierzył te dobra nadprzyrodzone ludziom, i od naszej gorliwości, naszej pracy, naszej wierności otrzymanemu darowi zależy, czy te dobra będą schowane pod korcem, czy też staną się miastem świecącym na górze.

Dlatego w spotkaniu twórców kultury z dziełem ewangelizacji upatruję szanse dla szafarzy Słowa Bożego. Mogą nauczyć się od ludzi sztuki wielkiej pracy nad słowem, wielkiej odpowiedzialności za słowo, za piękny kształt, w jakim słowo może się objawić ludziom. Ludzie sztuki, ludzie twórczy — o ile naprawdę twórczo uczestniczą w kulturze — wciąż odnawiają środki wyrazu, wciąż nad nimi pracują. Szafarz Słowa ewangelicznego może się od nich wiele nauczyć.

Po co wiele opowiadać o dialogu ze światem twórców, jeżeli nasze kościoły pełne są koszmarnych figur, stanowiących często obrazę Imienia Bożego, kiedy w kościelnych kruchtach sprzedaje się świąteczne pocztóweczki zdolne odebrać wiarę niejednemu bardziej wrażliwemu człowiekowi. Dlaczego wśród wielu budowanych obecnie kościołów tak mało jest wybitnych dzieł sztuki sakralnej? Dlaczego tak tandetnie, a w najlepszym wypadku przeciętnie są potem wyposażane? Nieliczne chwalebne wyjątki tylko potwierdzają tę opinię.

I nie chodzi tutaj bynajmniej o pięknoduchostwo. Powszechnie panująca u nas tandeta i brzydota jest świadectwem kultury naszego społeczeństwa, czyli mówi wiele o jakości międzyludzkich stosunków. Ludzie tkwiący w takiej kulturze, stawiają tandetne i brzydkie domki. I widać nie jest najlepiej z ich wiarą, skoro stawiają tandetne, brzydkie — a gorzej, że czasem i pretensjonalne kościoły. Gdyby św. Tomasz był między nami, czy odważyłby się napisać, że *arte et ratione vivit genus Polonorum*?

*Jan Andrzej Kłoczowski OP*





MACIEJ ZIĘBA

## Dopisek do „Twierdzy”

*Andrzejowi Kijowskiemu*

Czy liczą się tylko niedokończone rozmowy? Słowa przecięte w pół papierosa, urwane szarpnięciem wagonu, nadejściem brzasku, ostatnim rzutem oka w głąb szpitalnej sali... Czy świadomość, a raczej przyczajony gdzieś na dnie duszy niedosyt, że to już, że nie wolno już dłużej, każe przypominać sobie tembr głosu i słowa, których już nie ma, choć jeszcze dźwięczą w powietrzu. Czy liczą się tylko te najrzadsze rozmowy, w których dużo jest ciszy i nieśmiałości, i widzi się przez zamknięte powieki, i czuje delikatne ciepło bez uścisków?

Czy piękne mogą być tylko niedokończone książki i symfonie? Czy łagodnego jak kościelny półmrok spokoju Requiem nie odnalazł udręczony Mozart właśnie w przegranym wyścigu? Dlaczego najprawdziwsza jest pokiereszowana Madonna z Dell’Arco, a smutek płynący z Częstochowskiej Ikony bez dwóch szram nie osiągałby pełni?

Piszę do Ciebie, Władco, w wieczność albo w ciemność, jak nietoperz przebijając swą ślepotę niesłyszalnym dla nikogo dźwiękiem. Piszę z wątlą iskierką nadziei, która znacznie bliższa jest szaleństwu niż spokojnej rozważnej decyzji. Lecz czy można żyć bez takiej iskry? Niech choć przetrwa to głuche

wołanie w pustkę zimną jak skroplony wodór i te noce, gdy pył mgławic tłumi echo.

Przecież to był zwykły lot w krótką noc lipcową... Twoja twierdza stoi nie skończona... kilka szpitalnych rozmów i parę zapisków — to wszystko...

Wybacz, Władco, w głowie mi się mąci od wydarzeń, które wciąż wracają odbierając spokój, pytaniami dręcząc rozum. Chce Cię tylko o jedno zapytać: dlaczego tak ważne jest to, czego niema, skoro życie jest bezmyślnym tryumfem tych, co pozostali? Czemu nie należy kończyć zdania, dopisywać ostatnich akordów? Czy po to aby tym co pozostanie, był niedosyt? Czy w tym kryje się piękno? W tym wołaniu, by choć trochę jeszcze, żeby więcej... wołaniu, które niesiemy przez lata, aż coraz bledsze, bardziej drżące, w swej kruchości staje się tak piękne, że razem z nami odchodzi.

Żyjący za górami życzliwi mędracy mówili, że *integritas, claritas i consonantia* dają piękno. Ale co mieli na myśli?

Bo słowa w obcym języku są inne. Nie są dziecinną pieczętką przykładaną na dotykanych przedmiotach. Nie są też falą, która nie naruszywszy spokoju jeziora przemyka tylko po tafli nie mając ni granic, ni kierunków.

Słowa, użyte przez mędrców nie mają ostrych konturów, którymi tak lubi igrać rozum, nie nadają się do semantycznych wiwisekcji, przez które można odebrać im godność. Nie są też dołączone do przedmiotów jak etykiety, a choć nie możemy sprawdzić ceny, nie są przecież wiele obiecującą tandetą ani

magma z fałszu i drukarskiej farby, którą potrafimy dziś oblepić wszystko.

*Integritas* — jak rozumiem — daje całość i jedność, i zwartość. Przeciwstawia się przypadkowi i sztuczności.

*Claritas* — ma nadawać rzeczom przejrzystość i jasność, blask, ich ledwie widoczną poświatę.

*Consonantia* zaś pilnuje proporcji i harmonii, wewnętrznego współbrzmienia każdej części, które sprawia, że siedem fal splata się w światło, parę tonów układa w melodię, w ostrołukach migoczą witraże.

Ale mędracy żyli za lasami, w innym świecie, dla którego dzisiaj wciąż jesteśmy fantazyjnym snem, dziwnym rojeniem, co przypadkiem przemieniło się w realność. I dlatego w naszym świecie piękno mędrców będzie zimne jak jarzenie się neonów i zastygłe jak betony miejskich bloków, jeśli nie ożywi go współbrzmienie, *consonantia* ze zwykłym człowiekiem. Takim który żyje, smuci się, śmieje i cierpi. I który potem umiera. Będzie piękne niby Boskim pięknem, tak jak dzisiaj człowiek potrafi je pojąć— nieruchomym, wyniosłym, zamkniętym. Czy więc będzie fałszywe? Obumarłe? Bo Bóg może zstąpić do człowieka, lecz odwrotnie czynić niepodobna. Groźny fałsz jest dziś zawarty w starym pięknie lub też groźny fałsz tkwi skryty w naszym świecie.

Czy dlatego tak bardzo są ważne i szramy, i niedokończone symfonie, i rozmowy, co stale czekają pociągnięcia pędzlem, paru taktów i jednego jedyne słowa, które przecież zniszczyłoby wiele? Albowiem pogoń za

spełnieniem swego dzieła, nasyceniem siebie aż do granic — jest pogonią za groźną ułudą, błędnym światłem, którym nas do siebie wabi Ciemność. Cel jest fałszem, lecz pogoń prawdziwa. Jest prawdziwsza niż trawa, papier, ręka. Nie ma rzeczy prawdziwszej w człowieku. Każdy przecież nosi w sobie tę tęsknotę, która czasem nie pozwala spać po nocach i wciąż każe pędzić, skądś uciekać. Każdy chciałby kiedyś wreszcie dotrzeć. Dokąd? Wie niewiele.

Ale oni milczą.

Dlatego piszę do Ciebie w gwiazdny bezkres, obserwując ślady twojej twierdzy otulonej burnusem pustyni — coraz pełniej będącej wołaniem. I wraz z twierdzą przyzywam Ciebie. Bo przecież wszyscy lecimy. I każdy nasz lot jest ostatni.

\*

Pamiętasz tę noc, gdy szcędząc opał paliliśmy maleńkie ognisko zawinięci w grube, szorstkie koce nie dające prawie wcale ciepła? Roje gwiazd krążyły tuż nad nami jak ławice małych, srebrnych rybek, które czują pokarm, lecz się boją. Parę bledszych nurzało się w piasku, aby zaznać pustynnej kąpieli nie zważając na parskanie zwierząt i gardłowe śmiechy wielbłądników. Podkuliwszy nogi siedziałeś naprzeciw, powoli, od niechcienia rzucając słowa.

Polubiłem Twój sposób mówienia, ów ton beznamiętny i wyniosły, w którym nie ma nic lekceważenia, a tylko pewność człowieka, który wie, dokąd podąża, jak wie o tym każdy górski strumień, co wygładził już wiele kamyków i pokonał niejedną przeszkodę nieomylnie zdążając do rzeki.

Długo mówiłeś w ciemność. Twoja twarz pobrużdżona, lecz spalona przez słońce, wysuszona piaskiem maskowała raczej wiek i doświadczenie, ale nie mogłeś być młody. Ludzie bardzo rzadko osiągają spokój. I zawsze po latach.

— Ojciec twój opowiadał ci o mnie. Tak niedawno byliśmy razem, lecz czas galopuje jak rumak przez pustynię niecąc obłok kurzu, który zaraz opada i wszystko znów jest jak przedtem. Wózek, w którym leżałeś, stawiano pod drzewem, a my sącząc piwo dyskutowaliśmy o polityce lub planowaliśmy weekend.

Spojrzałem na szczupłą postać zrośniętą z pustynią jak maszt jest zrośnięty ze statkiem, a góra z doliną. Nie musiałem nic mówić, bo rozradowany zaśmiał się lekko na znak, że rozumie, po czym podjął monolog:

— Potem wróciłem do kraju. Kiedy razem z orszakiem wjeżdżałem w mury stolicy, żołnierze palili na wiwat, wciągnięto święte proporce, pułki na koniach i wielbłądach przekłusowały w ordynku. Dwa dni trwała uczta, a gdy dnia trzeciego władca miał sprawować sądy, siadłem po prawicy. Kiedy przy pierwszej sprawie chciałem się odezwać, bo całą swoją wiedzę miałem świeżo w głowie, ojciec nawet nie patrząc skinął na strażników i kazał mnie wychłostać. A gdy zemdlałem z bólu, wtrącił do ciemnicy.

W ciągu tygodnia, który upłynął od mego powrotu, cofnąłem się o lat dwieście, a może i tysiąc.

Wielka więc była ma wściekłość i wielkie wzburzenie, gdy po paru dniach zamknięcia znowu stanąłem przed ojcem. „Cóż

znaczy...” — zdążyłem powiedzieć, gdy ojciec gestem nakazał, by wywlec mnie na podwórze, ponownie obić kijami i jeszcze raz zamknąć do lochu.

Pewnego dnia, a od chwili mego uwięzienia minęło ich już około dziesięciu, usłyszałem na zewnątrz celi odgłosy inne niż hałasy dozorców roznoszących jedzenie. To ojciec postanowił mnie odwiedzić. Strażnikom rozkazał wnieść światło i poczekać za drzwiami. Sam podszedł i w blasku pochodni długo się we mnie wpatrywał — badawczo, jakby niepewny wyniku, czytał z rysów mej twarzy zapis lat, które minęły. Potem położył rękę na mym ramieniu. Synu — rzekł — masz być władcą. Nade wszystko naucz się więc słuchać.

— Strażnik! — Zawołał potem głośno. Wbiegł kapitan straży: — przynieś jadła — zażądał. Siedliśmy na ławie, a gdy gorące kęsy rozgrzały żołądki, otarł błyszczące wargi i wolno dobierając wyrazy zaczął mówić:

— Synu, naucz się słuchać. To pierwsza powinność każdego, zwłaszcza władcy. Po to cię wezwałem do kraju. Naucz się słuchać ludzi, ale słowom nie ufaj. Będiesz ich słyszał zbyt wiele, wyszukanych, wykwintnych i będą zdołały twą postać jak pstrokate pióra papugę. Ty jednak masz być sokołem, który powoli szybuje, lecz dostrzega nawet łebek myszy wychylającej się z nory, a w chwili gdy należy uderzyć, jak strzała dąży do celu.

Naucz się słuchać każdego: i lisa fałszującego swe tropy, i wilka, gdy przyzywa stado, dromadera, kiedy bieży truchtem wiele dni, nie zaznając spoczynku.

Posłuchaj, jak śpiewają piaski, gdy mrok okrywa pustynię, naucz się miłosnej melodii, którą wygrywają cykady, zapamiętaj ostrzegawczy syk węży i szemranie potoków. Oprzyj się o skrzypiącą palmę, niech drzenie przebiegnie przez ciało, i sięgnij po parę daktyli. Potem rozgnieć je w rękę, popróbuj miąższu, rozgryź pestkę. Wszystko to czynź bez pośpiechu, z namaszczeniem, które należy się drzewu. Gdy jego mowę zrozumiesz, wtedy możesz powrócić do ludzi.

Przypatrz się naszym dziewczętom, jak idą z dzbanami po wodę, i posłuchaj szeptu chłopaków, którzy skradają się z boku. Potem siądź przy ognisku, by Spamiętać opowieści starców o ogromnych lwach-ludojadach, oazach pokonanych przez piasek, karawanach, które już nigdzie nie dojdą. Porozmawiaj również z żołnierzami o ich służbie, w której nadstawiają karku wiele dni samotnie śledząc wroga, by nas niespodzianie nie zaskoczył. Poczęstuj ich tytoniem, zapal fajkę.

Zacznij zwiedzać warsztaty. Przypatrz się uważnie kowalom, ich mocno skrojonym torsom, muskułom, które błyszczą od potu, i zobacz ich twarze, w czasie gdy kują sztaby. Ze zroszonego czoła odczytasz zacięcie, hardość, która nie pozwala odpocząć spracowanym mięśniom i wyrównać oddechu. Zaciśnięte usta uczą skupienia, by w ułamku chwili — mimo suchości gardła, drżenia zmęczonych dłoni — uderzyć w miejsce, gdzie dźwięk jest nieco wyższy, gdyż cienki zaśpiew klingi zwiastuje śmierć wojownikowi, który jej zaufa. Dlatego kowale pracują tak zasłuchani w muzykę brzeszczotów, dźwięk lemieszki lub okuć, że nie dostrzegają niczego, złączeni każdym

nerwem z rozżarzoną sztabą, której udzielają sobie cios za ciosem. I w oczach ich ujrzysz miłość, z jaką młotami formują żelazo, kształtując je na swój obraz, zawierając siebie w każdej podkowie i kracie. Stąd też powiadają, że dobrzy mistrzowie słysząc z oddali stuk kopyt, bez błędu poznają kutą przez siebie podkowę.

Jak gdyby zasłuchany w tętent niewidzialnych koni przymknął oczy. W żółtym świetle pochodni jego surowe rysy nieco złagodniały. Mimo zapadłych policzków i sugerującego zaciętość ostrego nosa bił od niego królewski majestat i spokój człowieka, który nie tylko dostrzega lepiej niż wielu śmiertelnych, lecz zdołał się już z tym pogodzić. Nie otwierając oczu, ciągnął swoją litanie:

— Przypatrz się rzemieślnikom. Odkryj cierpliwość złotnika starannie inkrustującego rękojeść kindżału i zauważ radość farbiarzy, gdy barwią tkaninę purpurą.

Ucz się mowy ludzi. A gdy już rozpoznasz jej półtony i odcienie, dostrzeżesz, że słowa mogą odstaniać lub zakrywać rzeczy, przestęp progi świątyni. Ale w to święte miejsce wejdź ze drzeniem, bo stajesz wobec Najwyższego, który uczynił wszystko, co istnieje. Lecz pamiętaj, że choć cały świat jest Jego dziełem, On jest od wszystkiego odmienny. Chociaż On pozapalał wszystkie gwiazdy, przecież nie jest latarnikiem ani światłem. Chociaż ukształtował zwierzęta, nie jest królem zwierząt ani łowczym. Chociaż to On rządzi narodami, nie jest jednak sułtanem czy prorokiem.



Jeśli miałbym Go porównać do czegokolwiek na ziemi, to najbardziej ze wszystkiego jest pustynią.

Kiedy nocą wyruszysz na łowy i uklękiesz, by rozpoznać tropy i jeśli nagle usłyszysz, jak szepczą falujące wokół ciemne wydmy wraz z srebrzystą smugą tuż nad ziemią, wiedz, że jesteś bardzo blisko Niego.

Jest w Nim jednak też Pałacy Bezkres, Ogarniający Wicher i Mrok Najgęstszy. On jest bowiem Najwyższy, Niepojęty i Nieodgadniony. Jego jest światło i ciemność, żar i chłód, woda i piasek. Dlatego nie wolno nam zapomnieć, że On jest naszym Bogiem, gdyż to my należymy do Niego.

Z świętym lękiem wstępuj zawsze na pustynię.

Znów zamilkł siedząc nieporuszenie, jakby z kamienia ciosany. Jego spokój był jak woda w studni, ale w oczach wciąż gorzał mu płomień.

— Jesteś kapłanem? — zapytałem.

— Nie. Zresztą każdy winien nim być, zwłaszcza władca. Kiedy powierzą ci rządy, nie obmyślaj zbyt wielu planów, nie odziewaj się w kapłańskie szaty, ale pójdź wieczorem do świątyni, uklęknij przed skałą Najwyższego, przyłóż czoło do chłodnego marmuru i wsłuchaj się w ciszę czarnej płyty. Niech cię wypełni cisza kamieni. Potem mów, jak ja teraz mówię, jak przemawiał mój ojciec i dziadek, i wszyscy ojcowie naszych ojców. Mów za brzemienne kobiety, ich małżonków, co pilnują karawan albo pełnią służbę na granicach, mów za starców, myśliwych, handlarzy. Nie zapomnij o mulnikach i rzezańcach,

folusznikach, balwierzach i tragarzach. Wszyscy oni będą twoim ludem. Będziesz ich sądził, ochraniał, prowadził, by — z woli Najwyższego — przekazać następcy. I nie wolno ci pamiętać o sobie. Twa samotność niech będzie twoją służbą, byś krążąc jak sokół ponad ziemią wciąż wpatrywał się w zamgloną przyszłość i swój lud prowadził wąską drogą do wieczystej oazy Najwyższego.

Często będzie przygniatał cię ciężar, niewidzialną obręczą opasując serce. I krew ciemniejsza od wody, w której nawet gwiazdy się nie przejrzą, będzie płynęła w twych żyłach. Z takiej krwi lęgną się złe myśli, a pustka wpełzająca do człowieka rozszczepia go jak najostrzejsza siekiera i każda część czuje oddzielnie. Nie wolno ci ulec takiej chwili. Zamknij się wtedy w Przybytku i wsłuchaj w milczenie kamieni. Niech próżnia wypełni się ciszą i jak szlifierz oczyści twoją miłość zdejmując kolejne warstwy twego wnętrza, aby rozbłysł w nim diament Najwyższego.

Czy rozumiesz, co mówię?

— Zrozumiałem — rzekłem poruszony, czując się jego częścią, bo przecież z jego nasienia rozkwitłem i jednym tętnem tę samą krew przetaczają żyły. A nasze spojrzenia splotły się z myślami w mocną linę, której nikt pod Słońcem nie zdoła rozerwać, bo choć tylko jesteśmy śmiertelni, splótł ją swoją dłonią sam Najwyższy.

— Kiedy poznasz już ciszę świątyni i nauczysz się oddychać modlitwą, wróć do pałacu. Zwołaj budowniczych i geometrów, zbierz wszystkich generałów i ministrów. Niech

przedstawią ci plany. Ujrzysz wtedy rozrysowaną na białych kartach świątynię, plany twierdz, listy oddziałów gotowych do wojny, drobnym maczkiem spisane zapasy broni i żywności, mapy miast, wiosek, oaz, pól nawodnionych. Przestudiuj je uważnie, o wszystko się pytaj. Jednej rzeczy ci czynić nie wolno. Pytaj się o zdarzenia, fakty, liczby, ale rad moich urzędników nie słuchaj. Ich wiedza jest często użyteczna, lecz tak odległa od mądrości, jak wbity w piasek suchy patyk od falującej na wietrze smukłej palmy. Ich świat jest papierowym zwitkiem, w który wciąż należy coś wpisywać albo skreślać. Ich świątynia jest sumą skalnych bloków, wojsko sumą pułków, pułk — żołnierzy. Wiedzą dużo, niewiele rozumieją i nie im, lecz tobie jest lud powierzony. Ty przed podjęciem decyzji zawsze wsłuchaj się w mowę tych, którzy milczą, wsłuchaj się w ciszę Najwyższego.

Gdy skończysz naradę z urzędnikami królestwa, przyjdź do komnaty i siądź po mej prawej ręce. Przez siedem miesięcy patrz tylko i nie odzywaj się słowem. Potem przekażę ci władzę.

Pochodnia sypnęła iskrami i jasno rozbłysła białym światłem, spalając z cichym trzaskiem grudkę czystej smoły. Na czole ojca zauważyłem parę kropel potu. Długa mowa musiała go zmęczyć. Albo może sam ochłodził czoło ścierając ręką wodę z wilgotnej skały, po której wijąc się wśród wyżłobień wolno spływały maleńkie strumyki, pogłębiając miarowym kapaniem ciszę starego więzienia. Wciąż ze skupieniem wpatrywał się we mnie, lecz w tym jego powolnym badaniu była skryta miłość i troskliwość, których przenigdy nie chciałby wyrazić, ale które zeń prześwitywały, jak przez skórę

wzniesionego ku słońcu winogrona przezierają skryte w miąższu ciemne pestki. Stary władca szukał we mnie swojego następcy.

I odnalazł swoje lędźwie w moich lędźwiach, przedłużenie ramion w mym ramieniu, swego wzroku w moim. I rozpoznał we mnie tego ducha, który — z woli Nieodgadnionego — ma prowadzić karawanę ku Oazie.

— Strażnik, światło! — zawołał — Prowadź do pałacu.

Eskorta wniosła pochodnie.

— Noc się kończy — Władca nieoczekiwanie zmienił temat. — Zaraz znów będzie upał.

Poprawił osunięty na plecach koc z wielbłądziej wełny.

Rzeczywiście, słońce czaiło się już do skoku chcąc prawie w jednej sekundzie wznieść się ponad rozpląszczoną po horyzont ziemię.

— Nic tak nie skraca wędrowcom nocy jak wspomnienia snute przy żarze ogniska. Lecz starczy opowieści. Trzeba ruszać dalej. Znasz swą drogę. Ja muszę dokończyć budowy — wskazał ręką na Północ. W oddali widać było dwie krępe wieże wojennego fortu.

— To Twierdza Północna, zwana „Złą” przez żołnierzy. Zaczął stawiać ją ojciec. Gdy była skończona, przyjechał osadzić garnizon, ale pierwszej nocy jakby ziemia westchnęła, a oddech pustyni pochłonął budynek koszar i przykrył go wieżą, grzebiąc wszystkich. Od tego czasu twierdza stała pusta. Lecz

ponieważ wrogowie znowu nadciągają, trzeba ją opatrzyć, dokończyć budowy. Już od roku budownicy umacniają mury. Ty ruszaj do stolicy. Za miesiąc powrócisz z karawaną wiozącą żywność dla załogi. Potem wraz z nią dojedziesz do portu. Niech cię Najwyższy prowadzi.

\*

Jeżeli nie zmarnowałeś czasu, który Bóg ci zesał, wracasz do ojczyzny wioząc w sercu ludzi i obraz Jego świętego przybytku — pustyni. Jeśli byłeś ślepy, masz teraz w bagażu zdobny sztylet, w srebrze trybowaną broszę i wzorzysty dywanik — tak rozpoczął Władca pożegnalną mowę patrząc z rozbawieniem na moje zmieszanie. W ręku trzymał kubek po brzegi wypełniony sokiem z granatów. Po srebrnej krawędzi spływały czerwone krople, mokrymi plamami znacząc rozgrzane płyty żółtego piaskowca. Słońce, choć szykowało się już do odejścia, paliło jeszcze mocno. Siedzieliśmy na rozległym kamiennym tarasie nad główną bramą fortu, pomiędzy basztami.

— „Zła Twierdza” jest prawie gotowa, jutro przyjedzie wojsko, by zmienić załogę. Powracam do stolicy. Lecz niegodny to temat twego pożegnania, mówmy raczej o tym, z czym odjeżdżasz od nas do swojego kraju. Bo chociaż w moim królestwie zawsze cię ugoszczę, ale także radzę byś sobie bardzo cenił swoją ojcowiznę. Przyjrzyj się przesadzonym drzewom. Zanim ich korzenie nauczone pić soki ziemi, na której wyrosły, odnajdą nowe źródła, najczęściej uschną z wierności. Cóż dopiero człowiek? Tylko w twoim kraju domy i kamienie pamiętają przodków żyjących pośród myśli, które

niechybnie wyłowisz, jak ręka wyjmuje bursztyny spomiędzy kolorowych kamieni nadmorskiego piasku. Tylko tam są groby tych, którzy cię zrodzili, co jak uschłe drzewa ukradkiem wspominają czas wydawania owoców. I wciąż rosną kwiaty w ogrodzie, w którym spłoszony marzeniami, lecz przymuszany niecierpliwym tętnem wyznawałeś miłość, co prędko zgasła, ale której smaku stale poszukujesz, wielokroć łudząc się, że go odnalazłeś.

Te wszystkie miejsca mówią i szepczą w języku, którego nikt prócz ciebie zrozumieć nie zdoła. Jeżeli je porzucisz, czegoś zabraknie na zawsze, a życie zamienisz w gonitwę za złudą, która znika bez śladu, gdy chcesz ją pochwycić. Jeśli nie ma więzi z przeszłością, nie ma jej w ogóle. Jesteś wolny, lecz jest to wolność nasienia ostu, którym wiatr pomiata rzuciwszy je, dokąd zechce. Ceń swą ojcowiznę, tylko głupiec bowiem powtarza, że wszędzie są domy, szkoły i cmentarze. I sam żyje jak bydło, któremu obora i wiązka słomy w barłogu zupełnie wystarczy.

Na nieśmiałą uwagę, że kraje są równe i nie ma lepszych lub gorszych, Władca wpadł mi w słowa:

— Ale tylko głupiec twierdzi, że są jednakowe i że ich odmienność niczego nie znaczy. Szanuj wszystkie kraje, ale jeśli swojego nie zdołasz pokochać, nie pokochasz żadnego. Będiesz jak rzezaniec przekonany święcie, że żadna kobieta nie jest tego warta, by wiązać z nią życie. Wszystkie są takie same — będzie się przysięgał, nie zaznawszy małżeństwa i jego owoców.

Strzeż się pilnie teorii wydumanych przez ludzi, którym ich tępota nie pozwoliła dojrzeć złożoności życia — delikatnego jak gaje w księżycowym świetle i tak brutalnego, jak okrutne bywa wypalanie znamion zbiegłym niewolnikom. Unikaj więc mędrców, którzy lata strawiwszy, by wykryć formułę odbierającą życiu to, co jest w nim żywe, sami okaleczeni — uczą recept innych.

Wszelkie życie bogatsze jest bowiem od wymyślnych teorii głupców, których jest tak wielu.

Z rozmachem odstawił kubek. Sok bryznął po stole.

— Czuję, że robi się zimno, chodźmy do komnaty.

Poszliśmy wzdłuż kamiennego tarasu. Ze szczytu wieży dobiegały pokrzykiwania majstrów stawiających mury, a pod nami garstka robotników, o torsach miedzianych, w pośpiechu wciągała skrzynie zaprawy oraz kamieni, by zdążyć przed zmierzchem. Słońce, które przed chwilą grzało jeszcze mocno, gwałtownie już różowiało chcąc się zapaść pod ziemię. Na oceanie piasku właśnie nastawała pora przyptywu — szybko i bezszelestnie wypełniał się mrokiem.

Siedliśmy w miękkich fotelach. Przyniesiono świece. Władca częstował fajką. Potem sam zapalił i wydychając wonny dym rzeźwiący umysł podjął przerwana rozmowę:

— Chcesz zapewne spytać, co mi pozostało z lat przeżytych w twym kraju. Odpowiem: niewiele, choć sporo można zgłębiać i sporo podziwiać. Ale nie moją rzeczą jest czynienie dystynkcji, zabawa w niuanse, by ferować wyrok w

oczywistej sprawie, w której sprawiedliwego werdyktu nikt wydać nie zdoła. I każdy człowiek, któremu jest obca zabawa argumentami, by dowieść, że słuszność jest jego, wie to doskonale. Zawsze, gdy coś odrzucam, możliwe, że mam rację, lecz może się zdarzyć, że nie dostrzegam tego, co — niewidoczne dla mnie — daną rzecz dla innych czyni atrakcyjną. Dlatego też byłbym głupcem, gdybym się ośmielił orzekać: „to jest” albo „tego nie ma”.

Musimy jednak zgłębiać sądy Najwyższego, aby odkrywać prawdę, dlatego wiele myślałem, żyjąc samotnie w maleńkiej oazie — jeśli tak można nazwać szałas na pustkowiu i wątle źródło dające wiadro wody dziennie — o latach młodości spędzonej w twym kraju.

W domu, w którym mieszkałem w czasie swej nauki, hodowałem palmy przysłane z ojczyzny. Powróciły wraz ze mną i w parę miesięcy jedna po drugiej uschły bez wyjątku. Zabiły je zmiany wilgoci, temperatur, smagający piasek. Przywykły przez lata do łagodnych warunków i do pielęgnowania.

Podobnie rzecz ma się ze zwierzętami, które żyją w klatkach. Boją się wolności. Może nawet niekiedy marzą jeszcze o stepach i legowiskach w niedostępnych skałach. Ale czynią to leżąc na czystej podłodze, która nie jest za zimna ani zbyt gorąca, i oczekując pory, w której im przyniosą porcję mięsa. Już odwykły od życia i gdyby dano im wolność, wszystkie by wróciły pragnąc jedyne — by móc w spokoju dokonać żywota. Lecz nawet tego nie wiedzą. Ale się nie mnożą, stają się strachliwe, więc agresywne i podstępne. A gdy się



wściekają, wtedy je operują, do karmy dosypują proszków, by gromady gapiów oblepiających klatkę mogły szeptać z podziwem: „widzieliśmy tygrysa”, nie podejrzewając, że widziane zwierzę nie więcej jest do niego podobne niż wyblakły szkielet ogryziony przez mrówki.

Wiesz, do czego zmierzam? Jeżeli się kobietom zamykają łona, rodziny zamieniają w kontrakty — ważne, gdy przynoszą dochód — i jeżeli wycie tłuszczy staje się prawem, a zapewnienie rozrywki pierwszym obowiązkiem rządzących, wtedy wiem, że soki życia uciekły z narodu, że nawykł do spożywania papki. A lęk przed jej brakiem sprawi, że sam pójdzie do klatki za każdym dozorcą, który mu pokaże miskę pełną strawy.

Jeślibyś uważał, że to cena zmiany społeczeństw, które nie zapełniają już amfiteatrów, by się podniecać mordem lub że na miejskich rynkach nie wznoszą już stosów — to wiedz, że się mylisz. Bo dziś całe kraje odurzają się oparami gwałtu i przemocy, ucząc się okrucieństwa — nie rycerskiej walki, podstępności, zasadzek — nie stawiania czoła. Uczą się tego wszyscy już od małych dzieci. Zazwyczaj w imaginacji, lecz te same owoce zatrutych myśli będą dziś zbierane, jakie zbierano ongiś. Zresztą już się zbiera. A imaginacja tylko przyzwyczaja do życia w świecie bajań, plotek, horoskopów, napełniając ducha pozorami lęku, skrawkami miłości, sennymi widziadłami zmieszanyymi z jawą. Jeżeli zaś dźiąsła, nawykłe do papki, zamiast mamałygi dostaną chleb i mięso, zaczną krwawić. Podobnie, wysuszeni szaleńcy, gdy skończy się haszysz dający

im życie w tęczowych zaświatach, spełnią każdą nikczemność za parę okruchów tytoniu albo też powieszą się sami.

Niskie sklepienie komnaty pogłębiało słowa, które jeszcze przez chwilę krążyły nad nami jak ćmy usidłone przez świecę zanim padną w ogień. Władca nieporuszony ciągnął ze spokojem:

— Nikt nie ustanowił mnie sędzią. Przyjmij to, co mówię, jako dumanie kogoś, komu powierzono pieczę nad narodem i kto jak wszyscy ludzie, pogrążony w mroku, z cierpliwym wysiłkiem szuka drogowskazów.

Powiem ci, czym są słowa. To kruche naczynia rżnięte przez samego Boga z najcieńszych kryształów. Jeśli ich nie wypełni sens rzeczy, lecz ludzkie miazmaty, mętnieją przeźroczyście wzory, szlachetne szkło pęka. Zanika sens. Zostaje parę pustych dźwięków. Słowa jak kłęby dymu chwilę nieruchome, rozpraszają się z wolna tracąc swe granice i napętniając izby ciężkim, ściemniałym powietrzem. Trzeba więc chronić słowa. Z każdego z nich zdamy rachunek przed Stwórcą. Kto na to nie pomni, zatchnie się waporami przekłamanych znaczeń. Gdy zapomni naród, popadnie w szaleństwo i zginie, w zaćmieniu umysłu roztrzaskawszy czaszkę.

Ale oprócz szaleńców są pomiędzy ludźmi i tacy szalbierze, co kuglarskie sztuczki wyczyniają ze słowami zmieniając istotę lub bawią się nimi, jak gdyby były kolorowymi kulami do rozweselania gawiedzi i radowania władców. Strzeż się tych łobuzów, tych światowych mędrków, co dla swojej

sławy albo też pieniędzy dowiodą wszystkiego, co wyda im się wygodne lub słuszne.

„Przypominam sobie tego niedowiarka, który odwiedził mego ojca:

— Nakazujesz, aby twoi ludzie modlili się na różańcach o trzynastu paciorkach. Jakie znaczenie ma trzynaście paciorków — pytał — czy jeśli zmienisz ich liczbę, nie ten sam będzie zbawienny pożytek?

Po czym wysuwał subtelne argumenty za różańcem o dwunastu paciorkach. Ja, będąc dzieckiem wrażliwym na zręczność argumentacji, obserwowałem ojca, zastanawiając się, czy jego odpowiedź będzie równie błyskotliwa; albowiem błyskotliwe były przytaczane przez przybysza argumenty.

— Powiedz mi — upierał się tamten — czy różaniec o trzynastu paciorkach ma większą wagę...

— Różaniec o trzynastu ziarenkach — odparł ojciec — waży tyle, ile wszystkie głowy, które w jego imię już kazałem ścinać...

Wtedy Bóg oświecił niedowiarka i ten się nawrócił”<sup>2</sup>.

Sądysz, że to okrutne? Że przeciw wolności? Może i masz rację, lecz nie warto się spierać, jeśli przy odrobinie zręczności można dowieść i tezy, i jej zaprzeczenia. Tyle tylko powiem, że świat, w którym mędrkowie sprawni w swym rzemiośle potrafią zakrzyczeć wszystkich, nie jest bardziej wolny, a jest

---

<sup>2</sup> Antoine de Saint-Exupéry, Twierdza, Warszawa 1985, s. 19.

okrutniejszy. Żonglerka słowami, które wyzuto ze znaczeń, przynosi zniszczenie, i to perfidniejsze — przybrane w teorie o królewskim ładzie i sprawiedliwości lub o nowym świecie i nowym narodzie. Ja zetnę paru morderców słowa, tam zginą miliony zagłuszane gdakaniem mędrków o postępie, a inni mędrkowie odbiorą resztkę wyrazów tym, co ocaleli, okradając ich nawet z marzeń. Zawsze też w sąsiedztwie znajdą się łobuzy, co dla próżnej sławy albo ze zwykłego strachu, lub żądzy pieniędzy, uspokoją sumienia dowodząc każdemu, że trudno jest wyrokować w tak złożonym świecie, a odpowiedzialność każe mężnie przeczekać te trudne momenty, w których się może czujemy jak zgraja łajdaków.

Strzeż się mędrków słowa! Tych synów ciemności, którym nikt nie wystawił rachunków za zbrodnie.

Władca był poruszony. Ostatnie wyrazy mówił wstawszy z fotela, gestykułując przy tym wzniesionymi dłońmi. Jego ciemny kontur prawie sięgający sklepienia i głos wzmocniony echem sprawiały wrażenie, że rozmawiam z siłaczem, który we wzburzeniu ciśnie potężnym głazem, by dosięgnąć wrogów.

— Są też inni mędrkowie, sami może mniej groźni, lecz niebezpieczni w stadzie. To głupcy, którzy myślą, że tylko istnieje to, czego mogą dotknąć, a o wszystkich rzeczach, które są od nich większe i się nie poddają ich śmiesznym badaniom — sądzą, że ich nie ma. Studiują uporczywie, lecz przez całe życie nie pojmą, czym jest ojczyzna, a zamiast świątyni dostrzegą kamienne bloki spojone zaprawą. Ślepcy, którzy nie widzą, że wszelkie istnienie jest Boskim darem, a więź słów i

rzeczy — Boskim połączeniem, którym jak pępowina płynie dla nas życie.

Władca usiadł w fotelu. Chyba był już znużony tak długą przemową, bo wezwał strażnika, prosząc, by przyniesiono mu karafkę z sokiem i by zmieniono świece, których migotanie zaczęło męczyć oczy. Gdy prośbę spełniono, wlał napój do pucharów i by mnie zachęcić, skinął ręką w kierunku suszonych owoców podanych na tacy w delikatnie rzeźbionych okrągłych puzderkach, zaczął innym tonem. W pierwszej chwili myślałem, że odmienił temat.

— Naród to organizm, w którym każdy wypełnia należną mu czynność i wszyscy są potrzebni. Niezbędni są też kupcy rozwożący po kraju towary, sprzedający na placach płody naszej ziemi. Zginie jednak państwo, w którym rządy obejmą handlarze — kupczyki dzielący całe życie, każdy rok, dzień każdy na robienie pieniędzy i ich wydawanie, których szczytem radości jest dobra transakcja.

Wszystko może być dobre: troska o dochody i ich zabezpieczenie, także opłacona przyjemność, nabywane dobra. Ale dla handlarzy i ich krewniaków bankierów świat jest targowiskiem, czas — okresem zysku lub zbywania pieniędzy, a człowiek — klientem. Dlatego biada narodom, którymi rządzą kupcy. Najmą sobie mędrków, co brzęczenie złota zamienią na prawa, dowodząc każdemu, że wolność oznacza wolność robienia pieniędzy, cnota — spryt handlowy, a godziwa jest tylko sprzedajna rozrywka, że w ogóle to tylko jest dobre, co daje się sprzedać. Reszta jest zła lub jej nie ma. Wkrótce w takim państwie kapłani obsiadają skarby świątyni, wojsko

pilnuje żołądu, śpiewacy składają pieśni, by dostać nagrodę. A jeżeli wojownik, kapłan lub astronom żyje jak handlarz daktyli, koniec państwa bliski, bo umarła w nim miłość.

Jeżeli kobieta w czasie swej młodości, gdy jej wdzięczne kształty wzbudzają westchnienia, aby więcej znaczyć, zacznie sprzedawać miłość, ani się obejrzy, gdy jej zwiędłym ciałem pogardzą wszyscy ludzie, a zropiałą duszę odrzuci Wszechmogący. I skrzeczając jak ropucha zginie od kamienia, którym w nią ciśnie łobuz.

Władca machnął ręką strzepując pył z szaty: — są takie narody, których święte księgi wypełniają cyfry, a obywatele oddają czas, jak dziewczki noce, temu kto płaci więcej. Strzeż się państw handlarzy, gdyż gorszą od trądu roznoszą zarazę, co za przyjemne chwile i ciało, i duszę oblepia wrzodami.

Wstał, jakby nieco rozbawiony, bo w brązowych oczach dostrzegłem wesołe błyski: — jedyne lekarstwo, które od owego moru chroni moich ludzi, trzymam u wezgłowia.

Odsunął kotarę oddzielającą sypialnię od naszej komnaty. Nie usłyszałem kroków, bo miękkie dywany delikatnie tłumiły odgłosy stąpania. Po chwili powrócił z niewielką szkatułką, którą położył przede mną na stole. Jej wykończenie zdradzało, że w swym przeznaczeniu miała służyć kobietom. Może żona Władcy powierzała jej wnętrzu wisiory z szafirów i diamentowe kolie lub królowa-matka każdego wieczora składała w niej kameryzowane topazami klamry albo srebrne szpile, których długie łodyg ikończyły perły lub lilie ametystów.

Nie śmiejąc o to pytać patrzyłem w milczeniu na niezbyt wielką szkatułkę z cienkiej złotej blachy, której tłoczony ornament miękko lśnił na brzegach. Ściany pokryte emalią błyszcząły ciemnym błękitem jeziora, nad którym nieco tylko osłonięte trzciną znieruchomiały w baletowych pozach czarne czaple i białoróżowe flamingi. Tańczyły ptasi taniec, o którym mawiają, że kto go ujrzy o brzasku, gdy dobiega końca noc najkrótsza w roku, ten nie zazna śmierci. Wypukłą pokrywę szkatułki wieńczyły dwa posążki lwów splecionych w walce. Napięte pod skórą kłęby mięśni, rozjuszony paszcze połyskujące złotymi kłami i złość oczu zaklęta w maleńkich rubinach, świadczyły dowodnie, że ten co je ożywił, był wielkim artystą.

— Otwórz — powiedział Władca.

Uchyliłem wieka. Szkatułkę wypełniał piasek.

Władca tylko ułamek chwili bawił się zaskoczeniem łatwo czytelnym z mej twarzy i powściągnął uśmiech podjął przerwany wątek:

— Jedyne, co jest naprawdę ważne, to blask Boga. Czasami nazywają go pięknem, chcąc może niekiedy oderwać go od korzeni, choć nierozumny to zamysł. Jakby można było odłączyć promienie od słońca czy deszcz oddzielić od wody. Wielekroć siebie pytałem, czym jest ten blaski jak go uchwycić. Wielu też przychodziło do mnie z zapytaniem, jak można go odkryć, i nie umiałem im dać odpowiedzi, prócz tej, że stale należy go szukać, że sam jak starość przychodzi niepostrzeżenie, z delikatną pewnością odmieniając nasze

spojrzenia. I dostrzegałem znużenie w ich oczach, a potem odchodzili zawiedzeni obejmując uradowane tancerki lub szykując się do zamorskich podróży.

Czy powinienem był im nakazywać, by przejrzeni się w wodzie jeziora, przypatrzyli pelikanom karmiącym młode, obejrzeni kwiat pomarańczowego drzewa? Przecież nie zobaczą niczego, jeśli zajęci są sobą.

Wiele lat trzeba poszukiwać tego blasku, by pewnego dnia, nie wiedząc czemu, mimowolnie rzucone spojrzenie wydobyło błysk zawarty w rzeczy, jak zabłąkany pod wodą promień słońca rozjaśnia tłumioną czerwienią ukryte na dnie morza koralowce. I — lecz nikomu nie wolno się śpieszyć — ze zdziwieniem dostrzega się wtedy, że świat, choć się go znało tak dobrze, jest inny od naszych wyobrażeń, że gdziekolwiek by człowiek nie spojrzał, Najwyższy już tchnął swoim tchnieniem: i w pszczołę zlizującą pyłki, i w pędzącego rumaka, gliniany dzbanek, jedwabną szatę, twierdzę, którą buduję, w taniec szczupłej dziewczyny.

Inaczej Bóg postąpił z człowiekiem. Ów blask jest i w niemowlęciu, i w matce, i w wojowniku. Lecz możemy go stracić lub pomnożyć.

Stąd biorą się synowie ciemności, którzy dokonawszy wyboru zapiekłe gaszą Bożą iskrę, samych siebie nawet nienawidząc, gdyż w ich wnętrzu także jarzy się płomyk. Stąd biorą się też dzieci światła. Czas oczyszcza ich z ułudnych ambicji i życie ich jest cierpliwym wysiłkiem przesiewania



popiołu i piasku, by wytopić po latach szczyptę złota i z grudką kruszcu stanąć przed Najwyższym.

Dlatego naprawdę w życiu liczy się to, co stawia opór. Albowiem dopiero w zmaganiu człowiek uczy się Bożej alchemii i zaczyna być twórcą. Bez potu wsiąkniętego w kamienie nie ma zwierającej miasto świątyni, bez zmarnowanych szkiców i oporu granitowej skały nie wykuje się piękna w posągu. Bez długiej modlitwy w nieobecności Boga nie będzie świętych, jak i prawdziwej miłości nie będzie bez odbierającej spokój tęsknoty. Dlatego ważne jest wyłącznie to, co stawia opór. Jeśli zapamiętasz te słowa, nie usidli cię kuglarstwo mędrców, nie przekupią handlarze błyskotką. Nauczysz się przemieniać piasek w kruszec.

— Wystarczy — powiedział Władca wyrwawszy mnie z głębokiej zadumy — ciężki dzień jutro przed tobą.

Z szuflady niewielkiego kredensu wyjął skórzany woreczek zdobiony niebieskim cienkim szlaczkiem. Ujął w ręce szkatułkę i zręcznie przesywał z niej piasek.

— Będzie spoczywał w sypialni — rzekł wiążąc mieszek rzemykiem — ty weź ze sobą szkatułkę. Niech przypomni ci naszą rozmowę. Żegnaj. Zobaczymy się jutro.

\*

Słońce już stało wysoko, bo ostry snop jego promieni, wpadając prawie pionowo, wycinał z posadzki jasną kreskę. W twierdzy panowała cisza. Czyżby nastąpiła już sjesta? — W

pośpiechu zsunąłem się z łoża. Niebyło jeszcze tak późno. Murarze przewozili kamienie, żołnierze ze składu wynosili skóry i układali je w stosy. Dziw tylko, że pracowano w milczeniu. Podszedłem do komendanta eskorty mającej chronić karawanę.

— Coś się stało? — spytałem.

— Władca jest ciężko chory — odrzekł krótko, lecz zaraz szerzej wyjaśnił — nocą wyszedł na spacer wzdłuż murów. Gdy wracał do swojej komnaty, kamień osunął się z wieży, niewielki, lecz trafił go w głowę. Władca stracił przytomność. Odnalazł go dopiero wartownik.

— Jak się czuje?

— Szybko odzyskał świadomość, ale połową ciała wciąż nie włada.

— Można go będzie odwiedzić?

— Zapewne nie wpuszczają nikogo, lecz proszę się zapytać lekarza.

Wspiąłem się po kamiennych stopniach na mury i przeciąłem taras, dochodząc do komnaty Władcy. Z przedsionka wyszedł wartownik.

— Czy będę mógł zobaczyć się z Władcą?

Obrócił się w miejscu bez słowa. Od chwili jego zniknięcia do powrotu upłynęło kilkadziesiąt sekund. Nie odzywając się słowem, wskazał ręką na wejście.

W środku panował lekki półmrok, bo okienne otwory przestłonięto matami, przepuszczającymi jednak sporo światła. Władca leżał na łożu. Skupienie na jego twarzy pogłębiał cień zatroskania na czole. Gdyby nie łatwo zauważalny niepokój mężczyzny stojącego obok pościania Władcy, myślałbym, że chcąc sfolgować zmęczonemu ciału położył się, by odzyskać rześkość i za chwilę powrócić do pracy.

Lekarz podszedł do mnie i ujmując pod ramię odezwał się ściszym głosem, dobitnie akcentując każdy wyraz:

— Proszę nie męczyć chorego. Może pan rozmawiać tylko parę minut— nieznacznie skłoniwszy głowę wyszedł z sypialni równym krokiem.

Władca, jakby chcąc mi dodać otuchy, uśmiechnął się lekko. Dopiero teraz, gdy poruszyły się mięśnie policzka i lewa brew wraz z kącikiem ust uniosły się nieco ku górze, a prawa połowa twarzy pozostała kamienna, można było dostrzec, że jest chory. Próbował coś powiedzieć, lecz źle artykułowane dźwięki nie pozwoliły zrozumieć, o co chodzi. Skinął lewą dłonią, abym podszedł. Nachyliłem się nad jego twarzą. Czarne włosy i skóra osmalona przez słońce pomagały co prawda ukrywać lata, ale gęsta siateczka zmarszczek wokół oczu pozwalała się domyślać, że ich właściciel przekroczył już wiek dojrzały. Mocno zarysowana broda podkreślała siłę woli leżącego na łożu mężczyzny, ale teraz była odrobinę cofnięta, przez co twarz Władcy straciła na wyniosłości, stając się bardziej łagodna.

— Czas płynie szybciej, niż się spodziewamy — zrozumiałem chrypliwie powiedziane słowa. Brązowe oczy spojrzały na mnie przenikliwie.

— Od dawna już byłem gotowy. Tak przynajmniej myślałem. Lecz teraz, kiedy nadeszła... Wilk... wilk wył przez całą noc pod murami, a ja godzina za godziną rozmyślałem o niej. Wreszcie skończył się czas teorii... Nie ma już niepewności. Pozostało życie... jego najprawdziwszych parę godzin.

Ciało Władcy zmagало się z sobą, tracąc siły. Zdrowa część organizmu z coraz większym wysiłkiem opierała się bezwładowi nieruchomej połowy.

— O brzasku miałem nadzieję, że dzięki Najwyższemu zwyciężyłem... że ona już nie zmaći mi ducha — z poświstem wciągnął powietrze. — Czas jednak przed swym końcem nabrał tempa. Wiem teraz, że to byłoby za łatwe... zbyt łatwe. Bóg oczekuje od nas jeszcze więcej...

— Będziesz zdrowy, Władco — zapewniłem, przestraszony jednak widokiem półzmartwiałej twarzy. Dostrzegłem, że zauważył mą obawę i lewy kącik warg uniósł się w niewesołym uśmiechu.

— Zostanie ci po mnie szkatułka.

W drzwiach pojawił się lekarz.

— Proszę kończyć — powiedział oficjalnym, nieprzyjaznym tonem. Władca ze zniecierpliwieniem poruszył dłoń.

— Nachyl się — prawie wycharczał. Był już naprawdę zmęczony rozmową — jeszcze jedną rzecz ci chcę powiedzieć. Nie trzeba tego, co słabe... co niedojrzałe, przerabiać na złoto. Nie warto samemu budować. Raczej rób Mu miejsce... oczyszczaj... On nadejdzie i będzie działał...Trzeba czynić Mu miejsce... zapamiętaj...

Lekarz ujął mnie mocno pod rękę.

— Niech cię prowadzi Najwyższy — dorzucił ściszym głosem Władca.

— Dziękuję, Władco. Niech Bóg obdarza cię zdrowiem. Lekarz prawie siłą wypchnął mnie do przedsionka.

W oślepiającym słońcu całe życie twierdzy skryło się w głąb murów. Nie widać było zwierząt ani ludzi. Tylko schowany w cieniu niewielkiego daszka wartownik obrzucił mnie zaciekawionym spojrzeniem.

Czas najwyższy był już, aby się pakować.

Karawana ruszała po południu — chyba ponad pół setki wielbłądów. Doświadczone zwierzęta, zwiesiwszy głowy cierpliwie pozwalały na grzebanie w jukach i poprawianie bagaży, a potem sprawnie stawały w wyznaczonym miejscu. Chwilę później nadjechała na koniach eskorta. Na krótką komendę żołnierze, jak psy pasterskie prowadzące stado, rozproszyli się wokół kawalkady wyniośle ignorujących ich obecność dromaderów. Dowódca konwoju dał rozkaz wymarszu. Kopyta głucho zatętniły na klepisku. Ruszyliśmy w drogę.

Wędrowaliśmy dość szybko dnem suchej, krętej uedy. Wielbłądnicy przeciągłymi okrzykami o nieregularnej gardłowej melodii poganiali ciężko obciążone wierzchowce, chcąc jeszcze przed zmrokiem dotrzeć do morskiego traktu, szlaku wszystkich podróżnych spieszących do portu. Zeskalony piasek, wymieciony z pyłu przez wiatr, dawał mocne oparcie kopytom, poruszaliśmy się więc stale stępa. Po paru godzinach takiej jazdy piasek przez chwilę stał się jaśniejszy i sypki. Karawana poczęła wspinać się na skaliste zbocze — znak, że zbliżaliśmy się do drogi wiodącej ku morzu. Nagle ostrzegawczy okrzyk za naszymi plecami zatrzymał całą kawalkadę. Jeden z żołnierzy wskazywał ręką w kierunku doliny. W oddali widać było niewielki kłęb kurzu przesuwający się z wolna wraz z ciemnym punkcikiem. Był to jeździec. Żołnierze zostawiwszy u czoła czujkę zjechali nieco, stając w luźnym szyku. Po paru minutach stania w pogotowiu zaczęli spokojnie między sobą gwarzyć — rozpoznali swego. Jeździec w wielkim tempie pożerał dystans dzielący go od karawany. Wkrótce osadził przed komendantem spienionego konia i zmęczonym ochrypłym głosem oznajmił:

— Nasz Władca nie żyje.

Żałobny szmer przebiegł wśród ludzi. Tylko dowódca straży nie rzekł ani słowa, lecz zeskoczył z konia. Musiał być bardzo przywiązany do Władcy, bo twarz, jeszcze niestara, mocno mu ściemniała, a zmrużone oczy i szczęki zaciśnięte, tak że aż napięty skórę na policzkach, dobitnie świadczyły, że tylko z wielkim wysiłkiem ukrywa wzruszenie.

Komendant zwrócił się w kierunku odległej fortecy i silnym głosem, który jednak rozptywał się w głębi ściśniętego gardła, zaintonował pieśń żegnającą Władcę. Na przytłumione głosy rozkazów poganiaczy objuczone wielbłądy padły na kolana. Żołnierze zsiadli z koni. Któryś wyjął rebab i smyczkiem podjął jękliwą melodię. Reszta wsparła dowódcę wypełniając głosami górzyste pustkowie. Pieśń wibrowała tęsknotą, przyzywała kogoś, z kim się spędziło lata na wspólnych wyprawach i w niejednej potyczce wzajem osłaniało. Był to zapewne hymn śpiewany po zwycięskiej bitwie, bo w żałobną nutę wpadły tony tryumfu, z jakim pozostali przy życiu ciskają buzdygany pod stopy poległych, aby choć trochę rozjaśnić zamglone spojrzenia i ukoić rozterkę żywych i umarłych.

Smętna pieśń opadała w łagodne doliny i wspiąwszy się na skalne wierzchołki powracała kołem, powtarzając melodię z lekkim opóźnieniem. Pustynia żegnała Władcę żałobnym kanonem.

Odwiązawszy rzemyki torby wyjąłem szkatułkę. Zachodzące słońce zagrało czerwienią w rubinowych oczach lwów stężyłych w walce, delikatnie błysnął zaklęty w tańcu wiotki korowód czarnych i różowych ptaków.

Schyliwszy się, powoli, by nie uronić jednego ziarenka, wsypałem do złotego wnętrza garść jasnego piasku.

\*

Upłynęło lat wiele, a może tygodni lub tylko minut. Czy nasza miara czasu ma jakieś znaczenie?

Prowincjonalne Słońce nadal rejestruje bezładne trajektorie, które nagle giną. My zaś, parę miliardów zaplątanych w czasie, nadal uciekamy w ślad za przebrzmiałym światłem galaktyk, które umknęły.

Czasem wspominam, Władco, pieśń Twoich żołnierzy, bo każda niedokończona rozmowa domaga się pieśni. Przyzywającej — żałobnej, jak miękkie fiolety światła gwiazd ludziom najbliższych.

Skąd jestem? Dokąd zdążam? Wie tylko Najwyższy, który zna bieg czarnych obłoków i tory błyskawic.

Zadaję pytania i czekam...

Dziś jeszcze modlitwa zwierza nieboskłony, lecz nadejdzie pora, by i sobie żołnierską piosenkę zanucić.

Krzyże, 12-17 VIII 85

*Maciej Zięba OP*



JOLANTA CZAPCZYK

# Hierarchie wartości Andrzeja Kijowskiego pisarza i krytyka

o przełomie ideowym w latach sześćdziesiątych

Aby prześledzić zmiany w hierarchii wartości Andrzeja Kijowskiego — pisarza i krytyka — dokonujące się w latach sześćdziesiątych, należy poddać dokładnej lekturze trzy najważniejsze dla jego pisarskiej osobowości książki — zbiory felietonów z lat 1958-1963: *Miniatury krytyczne* (Warszawa 1961), *Arcydzieło nieznane* (Kraków 1964), *Szósta dekada* (Warszawa 1972).

W tomie *Różowe i Czarne* z roku 1957 Kijowski zawarł recenzje będące świadectwem dopiero co przeżytego zburzenia hierarchii...

Pierwszym problemem współczesnej powieści miał być odtąd konflikt natury etycznej. Wytworzył on „model bohatera współczesnego — człowieka podporządkowanego koniecznościom, których treść przekracza jego świadomość. Wszystko to razem stwarza wielki konflikt współczesności — konflikt wolności i dyscypliny, świadomości i zaufania (...) gdzie jest granica dyscypliny i drylu, gdzie jest granica zaufania i bezmyślności” (J. J. Lipski, *Diabeł, anioł i chłop*, w: „*Twórczość*” 12/1955). Później wyrazi to Kijowski zdaniem: „Nie chodzi o to aby zrozumieć i przyjąć nową sytuację historyczną, lecz o to

aby zrozumieć siebie samego w nowej sytuacji historycznej” (*Miniatury...*, s. 227).

Zniknięcie „żelaznej kurtyny” spowodowało napływ właśnie takiej problematyki — konfliktów rozgrywających się na poziomie „bycia w świecie”. Pod wpływem literatury francuskiej i przesunięcia akcentów w piśmiennictwie filozoficznym, a nawet w ideologii marksistowskiej („pojęcie moralności socjalistycznej”) na plan dalszy schodzi problematyka historycznej determinacji. Ośrodkiem zainteresowania staje się nie historia, lecz człowiek w niej zawieszony. „(...) niezależnie od ilości sztucznych planet krążących po naszym niebie nie należy zabijać, zdradzać, kłamać. Niezależnie od lęku, w którym żyje ludzkość, zgwałcenie nieletniej jest zbrodnią, a poniżenie matki staruszki, wypędzenie sieroty, opuszczenie wiernej żony po długich latach pożycia jest winą, za którą ponosi się odpowiedzialność, odpowiedzialność, nad której rodzajem warto się zastanowić. Niezależnie od historycznych determinant, określających los tego czy innego narodu, niezależnie od wojen i kataklizmów, które nań spadają, ktoś tam może być szczęśliwy i warto powiedzieć dlaczego. (...) Nie lekceważę ducha czasu. (...) Myślę tylko, że duch ten polata kędy chce (...)” (tamże, s. 13-14).

Przytoczony tu fragment felietonu Kijowskiego jest postulatem wobec współczesnej literatury, by właśnie tę problematykę i taką perspektywę uczyniła ośrodkiem zainteresowania.

Jaki zatem jest wzajemny stosunek tej odwiecznej problematyki dobra i zła oraz „ducha czasu”. Moralna klasyfikacja czynu wydaje się ważniejsza w hierarchii celów literatury niż znaczenie momentu dziejowego i historycznej determinacji. Historia pozostaje jednak obecna w kręgu tematów istotnych dla prozy współczesnej. „Duch czasu” staje się wewnętrznym motorem wszelkich ludzkich poczynań. Właściwie należałoby mówić o tradycji historycznej kształtującej takie a nie inne zachowania indywidualne i społeczne. Jeden z produktów historycznych uwarunkowań Kijowski nazywa „gustem”: „Gust jest dyspozycją bierną, zdeterminowaną. Nie ma nic wspólnego ze świadomym wyborem wartości kulturalnych—wybór ten odbywa się tylko wbrew sobie. Gust to zadowolenie z siebie. Jest zawsze mieszczański. (...) Gust wybiera wartości według najmniejszego wysiłku” (tamże, s. 20).

Tak też ocenia Kijowski polską literaturę współczesną próbującą wzorować się na egzystencjalizmie. Brak w polskiej tradycji literackiej moralizmu (typu Dostojewskiego czy Mauriaca) stwarza sytuację, w której obniża się lub wręcz nie dostrzega istotnych wartości proponowanych przez współczesny egzystencjalizm francuski. „Popatrzmy, co bierze się u nas z egzystencjalizmu: pryncypialność moralną *Upadku*? ostrą bezwzględną eschatologię *Dżumy*? system pojęciowy Sartre’a próbujący jednak objaśnić zasadnicze problemy istnienia? Nie, bierze się temat, sytuację, język, pozory, sztafaż” (tamże, s. 22). To jeszcze jedna klęska w próbie przekroczenia nie tyle fałszywej, co raczej w tym przypadku ubogiej hierarchii wartości: „bo mieszczańskie jest wszystko,

co nie przyznaje się do winy i kultury nie traktuje jako systemu wartości obowiązujących” (s. 23).

Kijowski daje świadectwo nie tylko nobilitacji waloru „pryncypialności moralnej”, „bezwzględnej eschatologii”, „zasadniczych problemów istnienia”, ale zaznacza przede wszystkim ich nieobecność we współczesnej polskiej literaturze. Jeszcze raz zdaje się to potwierdzać nieustanną konfrontację literatury i faktów społecznych przeprowadzaną przez Kijowskiego. Ważny jest nie tylko sposób istnienia jednostki w momencie przełomu historii i wynikły stąd konflikt natury psychologicznej czy egzystencjalnej, ale istnienie człowieka w ogóle, a więc zasadnicza problematyka egzystencjalna. Wkracza tutaj ostatni wielki temat (obok historii i jednostki) pisarstwa Kijowskiego — społeczeństwo.

Wraz z wkroczeniem do literatury problematyki etycznej zbliża się ona do dyscyplin, które zawsze były jej bliskie — filozofii, a zwłaszcza moralistyki. „Jest ona do tego zupełnie nie przygotowana. Nie wytworzył się nowy typ pisarza filozofa, zbliżony do wzorów starożytności. (...) Tymczasem skończył się już wiek XIX i nie mam żadnej wątpliwości, że dyletanckie gładzenie o bezsensie bytu głęboko uraża ludzi, którzy zbliżają się do kultury z namaszczeniem, z szacunkiem i chcą się od niej uczyć spraw, których nikt inny im nie wyjaśni. (...) stan świadomości odbiorcy masowego przerasta zadania popularyzacyjne. Nie popularyzacji trzeba, ale autentycznej filozofii i moralistyki. Podkreślam to drugie: ludzie chcą nie tylko wiedzieć, chcą myśleć ci wszyscy, dla których dotąd

jedynym przeżyciem intelektualnym było kazanie niedzielne” (tamże, s. 27-28).

Społeczeństwo Polski Ludowej staje się więc w ocenie Kijowskiego podmiotem świadomie kształtującym swój etos opierając się na literaturze, na niedostatecznie, zdaniem krytyka, rozwiniętej filozofii i moralistyce. Nie jest więc już zbiorowością, którą należy świadomie kształtować przez taki a nie inny obraz rzeczywistości. Społeczeństwu potrzebne są narzędzia interpretacji tej rzeczywistości, którą poznaje. Wysokie wymagania, jakie stawia literaturze ludowy odbiorca, każą sięgać po najwyższe piętra hierarchii wartości, jakie kiedykolwiek stworzyła. „Nie próbujmy im tłumaczyć, że to tylko taka zabawa, że wszystko to są konwencje, że to już wszystko dawniej było, a my tylko bawimy się układaniem starych słów w nowe porządki, że to daje nam bardzo dużo radości. Nie próbujmy tego tłumaczyć, dopóki nie zaspokoimy tego, co jest podstawową potrzebą dzisiejszego odbiorcy sztuki. Tą potrzebą jest kodeks postępowania i myślenia” (tamże, s. 27).

Natrafimy tu na zasadniczą konstatację Kijowskiego o niewystarczalności literatury: „Literatura piękna nic nie załatwi. Trzeba pięknego i mądrego piśmiennictwa filozoficznego i moralnego” (s. 28). (...) „Jeśli bowiem już do końca mam być szczery, muszę wyznać, że tym co mnie najbardziej przy literaturze trzyma, moim najskrytszym marzeniem, jakie z nią łączę, moją potrzebą najbardziej istotną i najbardziej osobistą, jest potrzeba Autorytetu. Ale jest to w

naszych warunkach marzenie zupełnie fantastyczne” (tamże, s. 63).

Zatem oczekiwania ludowego odbiorcy i krytyka, czytelnika najbardziej „kompetentnego”, nie są aż tak odległe. Różnica polega na tym, że jedynie czytelnik świadomy literackich tradycji zna ograniczenia, jakie narzuca sobie sama literatura. Kijowski stara się te zawężenia rozbić w polemice z Janem Kottem, rozszerza pojęcie literatury na niemalże całą dziedzinę kultury i cywilizacji: „Otóż dzieje się to, co zawsze się działo w literaturze w epokach wielkich przemian społecznych. W miejsce obumierających gatunków wchodzi inne, które powstają z rodzajów piśmiennictwa i działalności pozaartystycznych. W ten sposób dokonana się artystyczna nobilitacja powieści. W ten sposób w naszych czasach wszedł do dziedziny sztuki film, wchodzi teraz słuchowisko radiowe i spektakl telewizyjny. (...) Nobilitacja filmu i radia jest nobilitacją technik artystycznych, które jednak czerpią materiał z tradycyjnych gatunków literackich, z powieści i dramatu. (...) Nauka jest dziś najwyższym autorytetem. (...) Upadł autorytet sztuki i jej autonomia nic nie znaczy. (...) Literatura przeżywa podobny los co filozofia: rozpada się na dziedziny, które mają z sobą coraz mniej wspólnego. (...) Wyparta przez naukę z granic swej autonomii staje się wszechobecnym żywiołem” (*Szósta dekada*, s. 16). „Posiadamy dziś fantastyczną wiedzę o nas samych, o każdym z aspektów naszego istnienia i o każdej dziedzinie naszej działalności, w tysiącach laboratoriów na tysiącach stołów leżą wpisane do ankiet i wykresów, ujęte w cyfry, wskaźniki i symbole, nasze zdolności, nasze władze, nasze możliwości, nasze tajemnice. Złożyć je na powrót w

całość, czyli podporządkować systemowi wartości. Kto to uczyni? (...) Poeta przywraca jedność światu i ludzkiej naturze, nadaje wspólne imiona rozproszonym rzeczom, przywraca jedność ludzkiego języka, który doznał pomieszania — potęgą jego wyobraźni językowej jest wszystkim, co może przeciwstawić znowie fachowców, tj. «przy pomocy symbolicznych konstrukcji i symbolicznych skrótów można dać względnie integralny obraz świata, którego jedność uległa rozbiciu» (...). «Dyletant w sprawach ducha» jest donkiszotem wartości” (tamże, s. 16).

Można by zatem zbierając refleksje z kolejnych felietonów Kijowskiego zbudować dość logiczny zespół twierdzeń o literaturze współczesnej. W tradycyjnym rozumieniu (jako literatura piękna) jest ona niewystarczająca, wręcz niemożliwa. Nowy sposób istnienia literatury polega na jej współistnieniu z nauką. Uczestniczy w każdej jej dziedzinie, i to zarówno jako podmiot w odkrywaniu prawd rządzących współczesną cywilizacją, jak i jako przedmiot badania i klasyfikacji. „Każda symboliczna konstrukcja i każdy skrót symboliczny daje się wpisać we właściwy szereg symboli, którymi żyje i w których realizuje się wyobrażenia zbiorowa. Antropolog, socjolog, językoznawca, psychoanalityk określają zasięg jego wolności. Aby ją odzyskać, musi zrozumieć konieczności, jakim podlega. (...) Duch stał się pojęciem naukowym, wobec czego pisarz winien stać się fachowcem w sprawach ducha” (tamże, s. 93).

A zatem pisarzem naprawdę współczesnym staje się ten, który dokonuje refleksji nad literaturą, kulturą, a więc będzie

nim jak najbardziej krytyk literacki. „Błoński jest moralistą. (...) Należy właśnie do pokolenia pisarzy, które tylko w krytyce odnalazło dla siebie wyłom, do pokolenia, dla którego krytyka jest nie tylko funkcją wobec literatury, ale wyrazem najzupełniej osobistym” (tamże, s. 162).

W twórczości Kijowskiego-krytyka powtarzają się sprzeczne sądy o możliwościach podmiotowego istnienia literatury: „jej roszczenia do zmieniania świata są humorystyczne, a ambicje opisanie świata — naiwne” (s. 17); „przy pomocy symbolicznych konstrukcji i symbolicznych skrótów można dać względnie integralny obraz świata, którego jedność uległa rozbiciu” (s. 93).

Chwiejność tych sądów jest odbiciem podstawowego pytania: czy istotnie pisarz bądź też krytyk może być „fachowcem w sprawach ducha” Inaczej mówiąc, czy jest w stanie być autorytetem moralnym, czy hierarchia wartości, którą zawdzięcza swojemu aktywnemu uczestnictwu w kulturze, uprawnia go do przyjęcia na siebie takiej roli: „Czekam na jeden kwestionariusz, wypełniony na serio, odważnie, naiwnie; czekam na «tak» i «nie», czekam na definicję i samookreślenie, czekam, aż skończy się gra półstówek i min, aż ustaną westchnienia i stękania gór rodzących myszy. Czekam na kogoś, kto zakrzyknie dyszkantem: ja wiem wszystko! Jesteście bezsilni i leniwi. Tak dziecinnie, gniewnie brzmiał kiedyś głos Stanisława Brzozowskiego” (tamże, s. 208).

Twórczość Kijowskiego-krytyka wydaje się służyć coraz to nowemu formułowaniu postulatu wobec literatury jako



kwintesencji wiedzy o człowieku, literatury jako głosu mówiącego w imieniu obiektywnej hierarchii wartości, nadającego sankcję każdemu ludzkiemu dziełu, każdemu tworowi kultury czy cywilizacji; oznaczając stopień zniszczenia się wartości w przejawach współczesnego życia społecznego i indywidualnego. Temu służy wciąż podejmowany postulat „arcydzieła nieznanego”, które podnosząc kwestie najistotniejsze dla współczesności, wartościowałoby doświadczenia, hierarchizowało wartości, dokonywało rewizji współczesnego etosu w imię odwiecznej etyki: „proszę o powieść-formułę, powieść-metaforę, o wzór, w który mógłbym wpisać życie moje własne i wszystkich moich rówieśników, (...) ludzi urodzonych gdzieś między 1910-1930, którzy zaznali wszystkich możliwych współcześnie formacji historycznych, którzy zaczęli działać lub patrzeć przytomnie w epoce konfliktu, których progiem pełnej dojrzałości czy też zbliżającej się starości jest przeniesienie tego konfliktu na zupełnie inny plan, którzy w tym właśnie momencie ustępują miejsca generacji nowej, obcej, innej” (*Arcydzieło nieznanie*, s. 153).

Tymczasem jedynym osiągnięciem, które Kijowski nie bez goryczy wpisuje na konto współczesnej literatury, jest „formacja szyderców”: „Formacja szyderców, która zrodziła się u schyłku Młodej Polski, nadała ton literaturze polskiej aż do naszych dni, formacja Boya, Nowaczyńskiego, Słonimskiego, Tuwima, aż po współczesnych, aż po Dygata i Mrożka, formacja ta wykonała pracę podobną do prucia tkaniny: wyciągała jeden wielki temat po drugim i każdy z nich przemieniała w odrębną «manię», «obsesję». Tradycyjne myśli «metafizyki narodowej»

przystały kształtować literaturę polską. Jej tematem stała się metafizyka narodowa sama w sobie — parodia jej formą ulubioną” (*Szósta dekada*, s. 222).

Jedyną rewizją polskiego etosu ostatniego stulecia jest więc parodia, ironia i groteska. Kijowski kończy felieton zatytułowany *Formacje szyderców* gorzką pointą: „Takie są dzieje literatury pozbawionej sankcji” (jw.,s. 222).

*Jolanta Czapczyk*

*Naprzeciw mojego łóżka z siatką, w którym sypiałem lub chorowałem(z lęku o moje życie kładła mnie do łóżka z najbliższych powodów), wisiał w grubych, złotonych ramach obraz Matki właściwej, w stroju mieniącym się od pereł i jakichś innych drogich kamieni, w koronie, którą nad jej głową unosili aniołowie. Miała wąskie usta, smutne oczy, twarz pociągłą i trochę ociężałe rysy, jak mama. Wydawało mi się, że jest podobna do mamy i uważałem to za całkiem naturalne, ale nigdy o tym nikomu nie powiedziałem, nawet mamie. Dziecko, które trzymała na ręku, również koronowane, z książką do modlitwy w dłoni, było jakby moim bratem właściwym nie mającym nic wspólnego ze Smokiem ani z gromadą wrzaskliwych kuzynów z górnych pięter. Mama podzieliła mi świat na przyrodzony i nadprzyrodzony i nauczyła z tym drugim mieć związki silniejsze niż z pierwszym i nie zważać, że budzi to śmiech i politowanie.*

*(Dom, księga pierwsza)*

*Andrzej Kijowski*